

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 2

Jerozolima, 16 kwietnia 1943 r.

Rok I

W numerze:

K. Grzybowski: Nowoczesność a sprawa polska. — O nową Europę. — A. Rivet: Wspomnienia o powstańcach r. 63-go. — S. Baliński: Szkocki las. — T. Szanfary: Orientalistka w Polsce Odrodzonej. — J. S. Bystron: Emir Rzewuski. — Saadi: Fragmenty „Gulistanu”. — M. Kuncewiczowa: Kazimierz nad Wisłą. — J. Czechowicz: List z Jerozolimy. Deszcz. — T. Żuławska: Warunki pokoju. — I. Rzęczycki: Powiew czy przedwiośnie? — A. Skapski: Listy z Afryki Wschodniej. — WW.: Przegląd polityczny. — Kronika Bl. Wschodu.

ŚWIĘTO ZMARTWYCHWSTANIA



GOLGOTA

Linoryt Tadeusza Terleckiego

Dzwony wielkanocne wydzwaniają chrzest christianizmu.

A także i twój chrzest, chrześcijaninie.

Rankiem tego dnia z grobu Chrystusa powstało nowe człowieczeństwo. Stare, nieprawione przez grzech, Krzyż unicestwił. Z tygla, w którym przetopił swe dzieło, zepsute z winy człowieka, potrafił Stwórca wydobyć naczynie piękniejsze, Nowego Człowieka o duszy promiennej, o czystym ciele, swego Przyjaciela, swoje Dziecię na zawsze.

Wszystko to dokonało się w osobie Syna, który oddał się w ręce Ojca jako ofiara za nas.

Wszystko to powinno się następnie powtórzyć w każdym człowieku.

I w tobie także, chrześcijaninie. Teraz.

Dziedzicu Adama i jego upadku, winienes się odrodzić w Nowym Adamie, jeśli chcesz przyoblec nowe człowieczeństwo, które On dla ciebie stworzył na nowo. Winienes w sobie przeżyć dramat Wielkiej Nocy. Winienes umierać i zmartwychwstawać. Od teraz i bez ustanku w sensie mistycznym; potem zaś w sensie dosłownym, kiedy Bóg uzna za właściwie powołać cię do Siebie.

Oto jest zaprawdę twój żywot chrześcijański. Śmierć i Odkupienie. Śmierć grzechu i wszystkich haniebnych jego następstw, wżerających się, niestety, w twoje ciało. Odrodzenie dla życia w łasce, miłosierdziu, cnotach ewangelicznych. Oto zaprawdę dramat wzniosły i tragiczny; zaczęty w chwili chrztu, i który skończy się dopiero wraz ze śmiercią.

Nigdy jednak nie myśl, że jesteś w tej długiej walce osamotniony. Nie stałoby ci odwagi. Bo oto sam Chrystus chce raz jeszcze przeżyć w tobie mistycznie historyczny dramat

swej Męki i swego Zmartwychwstania. Chce zjawić się w Tobie wraz ze swym Krzyżem i swym Zwycięstwem. A oznacza to niezliczone krzyże i niezliczone zwycięstwa w toku twego tak skromnego i tak jednostajnego życia. Małe codzienne krzyże i małe codzienne zwycięstwa. Ale wszystko to jest wielkie w Jezusie.

Tylko nie zapieraj się Go. „Zezwól mi na

śmierć twoją, dziecię moje, i pozwól mi przywrócić cię do życia”. Ileż Miłości w jego wezwaniu. I ileż Mocy w brzasku Wielkiej Nocy! Czemuz obawiasz się?

Przymij cierpienie. Tak trzeba. Krzyż i Zwycięstwo są nierozłączne. Chrystus nie zmartwychwstałby tego niedzielnego poranka, gdyby nie umarł w wieczór piątkowy. Nie mo-

żesz się odrodzić w Bogu, jeśli stary człowiek nie obumrze w tobie.

Wolno ci według skłonności serca twego skierować oczy bądź na krwawiący Krzyż, bądź na okryty chwałą Grobowiec. Toż nawet w Kościele teologowie skupiali się wokół jednego lub też drugiego z tych dwóch biegunów. Kościoły Zachodu zatrzymywały się chętniej przy bolesnej i odkupicielskiej stronie Ofiary Chrystusa; Kościoły Wschodu kładły nacisk raczej na Zwycięstwo, które wykwiła z tej Ofiary. Znamienne są w tej mierze różnice w liturgiach Mszy św. Szczęśliwa to różnorodność, w niej bowiem odzwierciedla się żywotne bogactwo naszej wiary. Możesz tedy wedle potrzeb twojej duszy pogrążyć ją w jednej lub też drugiej kontemplacji.

Pod warunkiem jednak, abyś nigdy nie zapomniał, że oba ta misteria uzupełniają się nawzajem, że są nierozłączne jak dwa oblicza jednego medalu.

Niechaj radość Wielkiej Nocy nie pozwoli ci zapomnieć mąk Wielkiego Piątku: i ty nie osiągniesz chwały zwycięstwa, zanim nie przejdziesz przez cierpienie.

Ale niechaj kontemplacja Chrystusa cierpiącego nie przytłoczy cię do tego stopnia, aby miała skryć przed tobą blask wielkanocnego poranka: i dla ciebie ciężka próba jest tylko drogą, napewno prowadzącą do błogosławionej radości.

Jeśli potrafisz wraz z Chrystusem cierpieć i umierać przez miłość, masz pewność wiecznego z Nim żywota w miłości.

I ty masz przeżyć także swoje misterium Wielkiej Nocy.

KS. PIOTR BENOIT
z zakonu OO. Dominikanów

ZDZISŁAW BRONCEL

SREBRNE I CZARNE

Srebrne i czarne, jak inkrustacja,
Gwiazdy — klejnoty oprawne w świat.
Wodospad nieba w stu konstelacjach
I wiersz, jak w gwiazdy świszczący bat.

Włócnia promieni — zamieć diamentów,
W bok ziemi wbity świetlisty grot,
Drgające srebro wód firmamentu,
Płyta bezmiaru i wiersz — jak młot.

Cwiki ze srebra w czarnym hebanie,
Heban na niebo dźwignięty wzwyż,
Czarna tablica i srebrne zdanie
I wiersz na gwiazdach rozpięty w krzyż.

BURZA

Błyskawice — elektryczne noże
Tną świat w błuźniczej operacji,
W wnętrznościach nieba wytryskasz, Boże,
Piorunem — aktem kreacji.

Dłutami gromów kujesz w marmurze
I pierś otwierasz jak czekan,
By w przepaść ziemi wtrąciwszy burzę,
Ugasić niebo — zażec człowieka.

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

NOWOCZESNOŚĆ A SPRAWA POLSKA

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat wielokrotnie zagadnienie poinformowania świata o sprawie polskiej nabierało zasadniczego znaczenia dla bytu politycznego naszego narodu. Dzisiaj walczymy nie tylko o byt polityczny. Walczymy o biologiczne istnienie, o to by flaga polska nie stała się tylko zabytkiem historycznym. W tej walce tak ciężkiej i gorzkiej, że jej do niczego z naszych dziejów porównać nie można, propaganda jest bronią, może tak samo ważną jak czołg i samolot. Walczą nią obecnie wszyscy i dzisiaj są pola bitew, gdzie prasa, radio, wiadomość, informacja zastępuje korpusy, dywizje, bataliony.

W państwach totalnych kierownicy nawy państwowej tworzą sobie wygodne w odniesieniu do propagandy iluzje. Prostota nieuków i prostactwów układa się tam w aksjomaty życia i polityki narodowej i tworzy prawdę propagandy ściśle jak plany „wodzów”, które zapewniają zawsze powodzenie i wywołują zawsze tę samą reakcję. Propaganda niemiecka zawdzięcza początkowe powodzenie nie atrakcyjności swych hasł lub skuteczności metod, ale przerażeniu, które wywoływała każda akcja grożąca wojną u nieprzygotowanego do niej świata demokratycznego. Nie towarzyszyło tym sukcesom propagandy niemieckiej przekonanie o słuszności jej tez, tylko przetrach, który niejednokrotnie dyktował usprawiedliwienie dla błędów politycznych takich jak Monachium. Siła i szantaż zastępowały słuszność argumentów. Ta propaganda — to antyteza właściwych metod. Przyjdzie moment, w którym wszyscy „przekonani” i „nawróceni” wysiłkiem pana Goebbelsa zechcą zdyskontować swoje przekonanie w sposób, który nie będzie dowodził skuteczności jego metod.

Zdolność do pewnych metod propagandowych łączy się z cechami narodowymi. Obserwować to można na tle propagandy t.zw. „dobrych” Niemiec. Obok propagandy strachu puszczono na pełny bieg propagandę, której celem jest zabezpieczenie platformy współpracy dla ex-hitlerowców na wypadek przegranej. Jedną metodą wyzyskuje mordowanie Polaków i Żydów w obozach koncentracyjnych dla propagandy strachu, drugą wyzyskuje ten fakt, by głośno i sprawiedliwie za wszelką cenę te morderstwa potępiać. W ten sposób zyskując prawo głosu przed forum opinii międzynarodowej „dobrzy” Niemcy chcą wywołać przekonanie, że są tak dobrzy i sprawiedliwi, iż mogą zdobyć się nawet na potępienie swego własnego narodu.

Napewno nie ma tu z góry ułożonego planu, ale jest pozytywny stosunek do zbrodni, tak bliskiej duszy każdego Niemca, że „dobry” Niemiec nie zawaha się zrobić z niej narzędzie swego programu politycznego.

Już na tym ponurym przykładzie można uchwycić istotę propagandy. Jest to wykorzystanie wrażenia wywołanego przez zdarzenie, fakt. Bez tej podstawy propaganda jest niemożliwa. Jeżeli nie ma potrzebnych faktów, propaganda niewłaściwie rozumiana jest skłonna posługiwać się faktami nieprawdziwymi. Nic nie jest jednak bardziej szkodliwe, niż zdekonspirowane kłamstwo.

Rzeczywistość, im mniej jest obliczona na propagandę, tym lepsze zwykle daje rezultaty. Praca uczonych, osiągnięcia w przemyśle, w życiu gospodarczym kraju, w systemie rządzenia, słowem każdy fakt, wywołujący wrażenie postępu, solidarności, gospodarności, to wszystko pozycje w pracy propagandowej znacznie poważniejsze w swoich skutkach, niż głośna i hałaśliwa propaganda nie mająca podstaw w rzeczywistości. Ostrożność w wyborze metod, tematyki propagandy jest bardzo wskazana. Pewne metody (i tu najbardziej może sprawdza się społeczne znaczenie propagandy jako źródła do poznania charakteru narodowego) więcej przynoszą szkody niż korzyści. Trzeba położyć czasem kres nadmiernej chęci zajmowania zdecydowanego stanowiska wobec każdego zagadnienia. Lekkość w wypowiedziach opinii jest szkodliwsza niż nie wypowiedzanie jej całkiem. Trzeba niejednokrotnie zapomnieć o fałszywie rozumianym prestige'u, o przyjemności jaką się ma zajmując stanowisko, w przekonaniu, że się wie lepiej niż otaczający cudzoziemcy. Niewielu z nas zna dobrze tych naszych sprzymierzeńców z reguły nie chętnie objawiających swoje zdanie. Niejednokrotnie słyszałem opinie śmiałe, które z podejrzaną dokładnością, czasami wprost proroczą, wyznaczały daty faktów i podawały ocenę sytuacji na podstawie swego nie doświadczenia, ale przekonania. Z pośród wielu słyszanych nie przypominam sobie żadnej, któraby się sprawdziła. Szkodliwość takiej nieprzemyślanej gadaniny, płynącej bardzo często z nieuctwa i z zarozumiałstwa, jest większa, niżby to się zdawać mogło.

W czasie wojny do faktów ze szczególną siłą działających na wyobraźnię mas należała działalność armii. Narvik, Tobruk, Gazala, udział lotników w bitwie nad Anglią, 100 pol-

skich bombowców w takiej czy innej operacji powietrznej zrobiły więcej dla propagandy, niż przemówienia, programy, mimo że prasa zajmowała się tymi sprawami mało. Wiemy dobrze, ile trzeba było wysiłku i organizacji by przez kilka granic przeprowadzić kilka tysięcy ludzi, by oni potem mogli się znaleźć w Tobruku. Wie o tym ten oficer nowozelandzki, który opowiadając na kursie swoje przeżycia z kampanii greckiej i ucieczki z niewoli, stwierdza w publicznym wykładzie, że z kolegą dodawali sobie w czasie ucieczki odwagi myślą, iż jeśli cała Brygada Karpacka przeszła przez tyle granic, to oni także we dwójkę dadzą sobie rady. Wie o tym każdy oddział, który w drodze na front, lub z frontu, wracając do tej tyłom legendami sławnej twierdzy pustynnej, zobaczy jej cmentarz, owiany hamsinami i nawpół przysypany piaskiem. Leżą na nim długimi szeregami groby żołnierzy z dumnym orłem na piersiach. Mówią swym milczeniem o tym narodzie, który nie zrzekł się prawa walki o wolność, i wolność tę nie tylko zapewnić chce dla siebie, ale walczy o nią także i dla innych. Te groby i lotnicy polscy, latający codziennie wraz ze swoimi kolegami amerykańskimi i angielskimi nad Francją i Niemcami, tworzą silniejszą więź zobowiązań niż tak łatwo podpisywane, gwałcone, zapomniane traktaty. W umyśle tych naszych towarzyszy broni, którzy brali udział w naszych pracach i walkach, którzy podziwiali polskiego lotnika, marynarza, piechura, sapera i artylerzystę, nie będzie wątpliwości co do roli i zadań naszego narodu i państwa w przyszłym ustroju Europy. Wniosek stąd, że tego rodzaju faktów musi być jak najwięcej.

To są jednak tylko fakty. Dla nas Polaków, a może i dla tych co nas znają i chyba dla tego tak nienawidzą, wyrażają one ideę, która dla nas jest jasna. Reprezentujemy pewne wartości w tej części Europy, w której leży nasze państwo. Wbrew nam nie można przeprowadzić żadnego imperialistycznego programu. Idee te są tak ściśle związane z istnieniem naszego narodu, że nieprzyjacieli nie bardzo nawet ludzi się, że inną drogą, jak drogą gwałtu, może sobie bramę do realizacji swych planów otworzyć. Te idee są naszą koniecznością historyczną, są naszym przeznaczeniem bez względu na ustrój społeczny, gospodarczy państwowy; stanowią naszą rację istnienia i są w obecnej walce też racją stanu i celem. Powinny one stać się także tak samo jasne i dla naszych sprzymierzeńców. Tu dochodzimy do istoty sprawy.

Najważniejszą przeszkodą w porozumieniu się jest sprawa wspólnego podejścia do zagadnienia i wspólnego języka. Mówiąc wspólnym językiem i mając techniczną możliwość porozumienia się z rozmówcą, nie operujemy tymi samymi pojęciami i tą samą skalą wartości.

Jakież są tego przyczyny? Przede wszystkim byliśmy oddzieleni wysoką barierą od reszty świata. Brak pokrewieństwa językowego ze światem, na którym nam zależało, brak bezpośrednich kontaktów gospodarczych, nieumiejętne wyzyskanie wartości turystycznych naszego kraju, nieatrakcyjność naszego życia dla szerokich mas podróżujących powodowały, że kraj nasz leżał dla obcokrajowca dalej niż inne, do których jechało się przez Polskę. Jedyne kontakty, naprawdę żywo utrzymywane mimo trudności i braku środków, to kontakty uczonych polskich, których osiągnięcia budziły szczerą podziw wśród obcych.

A poza tym poziom i tempo życia naszego kraju tak niesłychanie różniły się od tego wszystkiego, do czego przyzwyczajony jest człowiek Zachodu. Te same trudności, które mieliśmy z formowaniem na obczyźnie nowoczesnej, zmotoryzowanej armii; te trudności, który mamy dotychczas z wprężnię-

ciem naszej rzeszy emigranckiej w maszynę wysiłku wojennego aliantów, stały na przeszkodzie nawiązaniu bliskich stosunków ze światem zachodnim, z którym znaleźliśmy się w jednym szeregu. Niedociągnięcia w naszym życiu gospodarczym wpłynęły na to, że nie było u nas dostatecznej ilości fabryk, dróg i samochodów i nie było u nas atmosfery społeczeństw, które dzisiaj w swych fabrykach produkują masowo czołgi i samoloty. Warunki życia polskiego tworzyły dalej jeszcze typ społeczeństwa, który na Zachodzie należy do przeszłości. Nasze społeczeństwo cierpiało na brak lekarzy, techników i ludzi, którzy mogli by stworzyć kontakt ideowy z Zachodem. Jako dowód może służyć doświadczenie, które każdy z nas przeżył, stykając się z lotnikiem polskim. Każdy z nas stwierdza, że naturalnie to jest Polak, ale jakiś inny, coś w nim prostego, gdzieś tam latając gubił coś, co dla nas ma znaczenie, czego naprosto próbujemy się pozbyć. Drugi przykład naszej nienowoczesności to efekty, które wyciągała nasza propaganda przed wojną. Zachęcając obywatela amerykańskiego do tego, aby przyjechał do nas, mówiła mu, że w naszych górach żyje rodzaj Indian, który nosi stroje i tomahawki podobne do amerykańskich. Przedstawiano Polskę, jako kraj polowań: wyobrażenie przemawiające do bardzo szczupłego grona osób.

My i Anglosasi jesteśmy idealistami. Zdażoby się, że porozumienie będzie ogromnie ułatwione. Trudności wynikają stąd, że idealizm anglosaski dostosował się do ery samolotu o szybkości 700 mil na godzinę, a nasz tkwi w czasach maszyny parowej i bryczki konnej. A tymczasem metody polityki wewnętrznej i zewnętrznej z przed wojny obciążały nasz debet nieufnością i niezrozumieniem naszych zagadnień i problemów. Wyzyskiwała to wroga propaganda szerząc opinie, które lekceważyliśmy nie czując się na siłach z nimi walczyć. Od czasu do czasu dochodziły do nas głosy, które burzały nas do żywego. Oskarżano nas o faszyzm, gdy całe społeczeństwo było szczerze demokratyczne i potępiało autorytatywne metody. Pozorom, często narzuconym okolicznościami, nadawano w świecie przesadne znaczenie. Nie rozumiano warunków przymusowych, w jakie stawiało nas nasze położenie między Niemcami i Rosją wobec słabości militarnej Zachodu. Tłumaczenie tego nawet dzisiaj, gdy sprzymierzeni bodaj częściowo zdają sobie sprawę z roli, jaką w tej wojnie odegraliśmy, napotyka na trudności. Jakkolwiek pierwsi skrawiliśmy się w obronie wolności wszystkich, sprawy nasze nie znajdują się na pierwszym planie.

Zasadniczą przyczyną jest to, że zakres fał, na których pracuje nasza myśl polityczna, nie daje czystego odbioru. Z góry pragnę zastrzec, że nie idzie tu o politykę i pracę rządu. Rząd, chociaż objął w spadku smutne dziedzictwo klęski i braku ideowego kontaktu, wiele już naprawił. Ale czynniki oficjalne tu nie wystarczają. Całe społeczeństwo polskie na obczyźnie, musi przestroić się, musi zacząć myśleć tak, byśmy zostali zrozumiani. Nie wiem, o ile to, co powiem teraz, potwierdzą obserwacje innych, ale wydaje mi się, że z całej naszej koncepcji wojny i jej zakończenia rozumie się tylko nasz stosunek do Niemiec, i to o tyle tylko, o ile ten stosunek opiera się na uczuciu.

Pod tym względem jesteśmy w pozycji gorszej niż w XIX stuleciu. Sympatie Europy były wtedy częścią po naszej stronie. Nasi poprzednicy pozbawieni rządu, sprzymierzeńców oficjalnych potrafili myśleć rewolucyjną polską wpleść na krosna walki ludzkości o prawa istnienia narodowego, o postęp, o demokrację. Myśl polska układała program całej przyszłości i Europy, szturmowała do bram despotyzmu nie tylko w Polsce, walcząc o byt naro-

dowy, ale porywała do czynu i poparcia ruchu polskiego cały postępowa Europe. Sprawa Polska była sprawą, o którą walczyć każdy, kto szedł z duchem czasu. Byliśmy mocni nie tylko siłami własnymi, lecz także siłami całego nowoczesnego myślącego świata.

Każda epoka ma swój język. Polacy język polityczny XIX w. znali doskonale i począwszy od Wielkiej Emigracji na Trybunie Ludów byli znani całemu ówczesnemu światu politycznemu. Dzisiaj mamy o tyle więcej powodów, by znowu znaleźć się na tej trybunie, by znowu sprawa polska przemówiła z niej językiem zrozumiałym dla wszystkich na Zachodzie.

Ale trzeba pamiętać, że Ameryka — na przykład, to obecnie zupełnie inny problem propagandowy niż wówczas, gdy o wolność Stanów Zjednoczonych walczyli Pułaski i Kościuszko. Prasa ówczesnych Stanów była pełna sprawy polskiej, traktowanej z najwyższą życzliwością. Ale ówczesni Polacy byli bliżej duchowi tych Stanów.

Musimy zacząć myśleć nowymi kategoriami. Musimy zrozumieć, że hasłem epoki jest usuwanie trudności politycznych na gruncie rozwiązań ekonomicznych. Cały konflikt między totalitarynami a demokratycznym poglądem na świat rozgrywa się na tle tworzenia, przy pomocy tej czy tamtej metody, organizmów gospodarczych, które by mogły żyć w stworzonych przez postęp techniczny warunkach. Można barykadować drogę poglądom ideowym, nie sposób jednak jej zagrozić ideopowi technicznemu, a w konsekwencji i zmianom w strukturze społecznej i w sposobie myślenia, w tworzeniu się nowych ideałów społecznych. Inaczej wyglądały one w erze maszyny parowej, a inaczej teraz.

Trzeba jednak zrobić pewne zasadnicze zastrzeżenia. Wojna totalna zastała cały świat demokratyczny nieprzygotowany. Naturalną tendencją i naturalną odpowiedzią na metody wojny, których ofiarą padliśmy, było możliwe wieńce przyjęcie tych samych metod. Podglądanie ich i studiowanie, jako natychmiastowego środka zaradczego. Ale tak samo, jak próbowano odpowiedzieć niejednokrotnie z doskonałym wynikiem innym środkiem i inną metodą, na sposoby niemieckie, tak samo należy próbować innych metod i w dziedzinie idei. Metody propagandowe państw totalitarnych zostały w pewnej mierze przyjęte przez państwa demokratyczne. Nie mogły one jednak być przyjęte w całości. W systemach państw totalitarnych bowiem, bez względu na kolor ich programu, są one częścią tego programu. Mimo pozorów nowoczesności, są naprawdę nawrotem do stanu rzeczy, który ludzkość dawno już porzuciła. Niebezpieczeństwo ich polega na tym, że raz przyjęte prowadzą do ostatecznych konsekwencji. Każdy, kto sprawę polską ubiera na wzór zdyskredytowanych już zasad systemu autorytatywnego, wyrządza jej największą krzywdę.

Polskie tezy programowe, lepiej niż jakakolwiek inna sprawa, o którą wojna się obecnie toczy, mogą i powinny być przetransponowane na nowe pojęcia. Polska przyszłości, tak jak ją wszyscy widzimy, w powiększonych granicach, gospodarczo silna, a dzięki rozwiązaniu swych trudności gospodarczych sprawiedliwa dla wszystkich swoich dzieci, jest w interesie wszystkich jej sąsiadów, a nawet wrogów. Zdajemy sobie bowiem sprawę z tego, że gdybyśmy tak rozumieli naszą rolę, a przede wszystkim gdyby naszą rolę rozumiano w ten sposób w świecie, to dzisiaj ta właśnie katastrofa, której ofiarą padają obie strony walczące, nie byłaby możliwa. Gdybyśmy we wrześniu byli tak silni, że inwazja niemiecka nie mogłaby się udać, zyskałby na tym nie tylko świat cały, ale nawet same Niemcy.

Sposób jednak i ujęcia tych celów i metody urzeczywistnienia tego programu nie mogą w niczym przypominać tych metod, z którymi dzisiaj walczymy. Metody osiągania celów politycznych uległy zmianie tak samo. Trzeba usunąć z naszego sposobu myślenia i działania politycznego te metody, które dzisiaj są przestarzałe i stają na drodze do realizacji naszych zamierzeń. Słabością państw osi jest nawrót do metod, które dzisiaj nie mogą stanowić atrakcji same w sobie, i które z chwilą gdy się im odejmie gwałt, będącą jedyną ich gwarancją, nie mogą dać rezultatów. Dzisiaj mogą one wywołać tylko walkę. Zbyt wiele sił świadomych zostało wyzwolonych w nowoczesnych społeczeństwach, by polityka Niemiec nazistowskich mogła dać rezultaty.

Sprawa polska ma zawsze to samo piętno. Jakkolwiek byśmy starali się o tym zapomnieć, bieg wypadków przypomniał nam i naszym, nieraz zdradzieckim sąsiadom, których los z naszym się łączy. Czy chcemy, czy nie chcemy, byt nasz jest związany z wolnością i ludzi i narodów w tej części Europy, gdzie nas los usadowił. Nasza polityka może być tylko wielka, tylko wspaniałomyślna, gdyż inaczej nie będzie jej wcale.

O nową Europę

W listopadowym zeszycie jednego z najpoważniejszych miesięczników brytyjskich „Nineteenth Century and After” znajdujemy następujące uwagi krytyczne niepodpisanego redaktora pisma (jest nim znakomity publicysta angielski, Voigt), poświęcone powojennej organizacji Europy:

„Jest rzeczą o życiowej doniosłości dla Wielkiej Brytanii, aby niezależność wszystkich narodów europejskich, wiążąc w to niezależność tych wszystkich, które są popularnie choć nie zawsze ściśle określane jako „małe narody”, została silnie zabezpieczona. O małych narodach dyskutuje się często w ten sposób, jakby były one zawałą i istnieją szeroko rozpowszechniona wiara, że im mniej państw w Europie, tym lepiej. A jest przecież rzeczą oczywistą, że zniesienie małych państw doprowadzi do powiększenia wielkich mocarstw i — w ostateczności — do supremacji państwa górującego nad innymi swoją sytuacją strategiczną oraz moralnymi (? — red.) i materialnymi zasobami — Niemiec.

Udział mniejszych państw w życiu kulturalnym Europy jest olbrzymi; niektóre z nich to najlepiej rządzone społeczeństwa w świecie. Europa nie

mogłaby być bez nich Europa. Znajdują się one — tak jak i Anglia — na rozdrożu między Europą a despotyzmem czy też anarchią. Jeśli greko-rzymskie i chrześcijańskie dziedzictwo nie ma być zniszczone, i jeśli w Europie nie ma wygasnąć na zawsze nadzieja ładu, wolności, pokoju i równowagi, trzeba wzmacniać to wszystko, co oprze się naporowi materialistycznego kolektywizmu, wszystko jedno socjalistycznego, komunistycznego, narodowo-socjalistycznego, czy faszystowskiego, oraz groźbie uniwersalnego despotyzmu, który ukrywa się poza nowym internacjonalizmem pojętym jako scentralizowane międzynarodowe planowanie gospodarcze oraz ogólny (należy go odróżniać od lokalnego) federalizm. Dwa są tylko ośrodki oporu przeciwko tym zagrażającym nam we współczesnym świecie zjawiskom — osobowość ludzka i niepodległy naród. Jest rzeczą o znaczeniu istotnym, aby mniejsze państwa były nie tylko związane w zrównoważony ład Europy, ale także aby ich niezależność, właściwości, cechy charakterystyczne były mocno zagwarantowane. Narody — tak jak i jednostki — muszą mieć swoją osobowość, a bez osobowości narody — tak jak i jednostki — są niczym”.

A. RIVET

WSPOMNIENIA O POWSTAŃCACH ROKU 63-GO

Pokolenie, urodzone w lat około trzydzięści po roku 1863, żyło i dorastało w cieniu powstania styczniowego. Niby zapach jedliny, błakający się w pokojach długo po Bożym Narodzeniu, atmosfera tamtych przegranych, pogrzebanych, a nieraz przeklinanych spraw trwała w domach polskich i w życiu polskim lat dziesiątki. Oddychając, braliśmy ją w płuca i w krew, aż stała się częścią naszej istoty. Dokonywało się to tak nieświadomie, jak samo oddychanie. Dopiero może później, kreśląc sobie drzewo genealogiczne naszego ducha, odkrywaliśmy te właśnie pierwiastki, krążące jak soki pod jego korą.

Ocena roku 63-go była nadzwyczaj różnorodna. Rozbieżność sądów pisarzy politycznych dostatecznie uwypukla wyliczenie trzech tylko nazwisk: Koźmian, Piłsudski, Balicki. Ale niezależnie od ocen, każdy z nas, urodzonych w tamtych latach, kiedy wspomnienia rejestrować zaczęliśmy, znajdzie wśród nich niejedno, które, z powstaniem związane, pozostało w jego duchowej budowie. Powstanie ex post tak czy owak sążone, źle czy dobrze, przechodziło w nas nieprzerwaną tradycją i codziennie gromadzoną dziedzictwem. Spójrzmy tylko wstecz...

W najgłębszych złożach pamięci zostało przypomnienie niewielkiego metalowego orzełka. Podobne orły zleciały potem gromadą na strzeleckie maciejówki, a dziś zdobią każdą żołnierską czapkę. Tamtem orzełek przypięty był do makatki, wiszącej nad łóżkiem, a umieszczony pomiędzy świętymi obrazkami — dla dziecka — sam, jak one, stał się święty. Matka opowiadała nam, że to orzełek z powstańczego pasa naszego dziadka — i taka bodaj była pierwsza moja wiadomość o powstaniu.

Potem, kiedy z opowiadań ojca wiedziałem już o nim więcej, wydarzyło się coś, co pozostało mi na długo w pamięci. Odpowiadał ojca nieraz jakiś stary, wysoki brodac, którego czamara i długie buty zwracały naszą uwagę i budziły zaciekawienie. Podczas jednej z jego wizyt wszedłem z niego do gabinetu ojca, nie spodziewając się tam nikogo zastać. Spojrzały na mnie z poza okularów jakieś dobre, uśmiechnięte oczy, a ojciec zaskoczony moim wtargnięciem, mruknął tylko szybko: „Pocałuj w rękę!” Usiłowałem wykonać ten rozkaz, choć się ów brodac bronił i chociaż zdziwiony patrzył na ojca, bo przecież panów, nawet takich starych, nie całowało się w rękę. Ale ojciec, jak gdyby tłumacząc, nachylił się ku mnie i jeszcze ciszej szepnął: „To powstanie...”. Był to pan Bronisław Szwarc, który po siedmiu latach szlisselburskiej twierdzy i długim zesłaniu, we Lwowie dni swych dożywał.

A w Warszawie, dokąd jeździliśmy z rodzicami, mieszkała znowu babka Józefa. Mieszkała u wujostwa, którzy zajmowali wówczas apartament, stanowiący ostatnio część ambasady włoskiej. Babka, ongiś Langiewiczowa kurierka, była jak gdyby wycięta z Grotgera. Deklamowała nam śpiewy Niemcewicza, opowiadała historię Polski, — ale nie lubiła, abyśmy przekraczali próg jej pokoiku. A tam właśnie ciągnęło nas najwięcej. Przedziwna to była rupieciarnia: jakieś druki i pieczątki Rządu Narodowego, jakieś krzyżki i pierścionki, cierniem owite, jakieś krepki kawałki. Myślałem, że tam zamykał się świat babki, a poza jego granicami, nieco bliżej czy dalej, byli już — Moskale. Czas dla babki był tylko przerwą, antraktem, między tamtym powstaniem, które upadło, i przyszłym, które wybuchnie i zwycięży.

W „szczenięcych latach” pierwszych klas gimnazjalnych we Lwowie, rocznica styczniowa była zawsze datą dziwnej przygody. Wydzwaniało ją tętno niespokojnego serca, złościły blaski pochodni, rozjaśniające mrok łyżakowskiego cmentarza, gdzie gromadzili się przy cmentarzyku powstańców, przy krzyżach powstańców i kroźńskim i przy pomniku Ordona. A potem powrót pochodem do miasta i nieodmienna awantura na Pieterskiej z policją, która usiłowała pochód rozwiązać, i włączone już do rytuału bicie szyb rosyjskiemu konsulowi. Nazywał się Pustoszkin. Zresztą od czasu Wrześni tłuczono szyby także w niemieckim konsulacie — dla równowagi i sprawiedliwości. Wszystko to miało cechy zawiadającej chryjki. Ale urwisowskie miny znikły nam z twarzy, kiedy tylko spotkaliśmy na ulicy gromadę starszych panów, idących ze sztafandą na jakiś swój obchód, uroczystość, lub — co najczęściej — pogrzeb kolegi. Tylu tam było znajomych moich rodziców. O, pan rektor Syroczyński, pan Deskur, dyrektor Biechoński, pan Drewnowski, pułkownik Stella Struś Sawicki... A na ulicy pokazała mi kiedyś matka niskiego, siwego pana, z hiszpańską bródką, w czarnym kapeluszu o dużych artystycznych skrzydłach, owiniętego w długą pelerynę. „To pan Ludomir Benedyktowicz — powiedziała matka — koza mu w powstaniu odrabiali obydwie ręce w przegubach, kiedy ranny leżał na poboju-

wisku. Pan Benedyktowicz jest malarzem i przyczepiają mu pędzel do przegubu, kiedy ma malować”. Pan Benedyktowicz ukłonił się matce, schylając głowę, bo kapelusza zdjąć nie mógł. Powiała od niego jakaś uśmiechnięta widmowość, która zresztą nie stłumiła we mnie ciekawości, jak też te jego ręce wyglądają i chęci zobaczenia ich. Pragnienie to miało się spełnić dopiero wiele lat później. Pan Benedyktowicz pisywał także wiersze i kiedyś na jakimś obchodzie recytował jeden z nich. Pamiętam, kiedy wygłaszał słowa błogosławieństwa dla młodych, którzy w dzieciństwie przejmą broń i nakaz walki, Benedyktowicz ruchem błogosławiącym wyciągnął ku widzowi ramiona — i z rękawów surduta wysunęły się dwa bęzpiekie, w czarne sukno owinięte kikuty. Powiedziały nam one więcej od słów wiersza.*

W gimnazjum po jasnych, białych kurytarzach przechadzał się podczas przerw drobnymi kroczkami wysoki, przygarbiony siwy pan, z rękami splecionymi na plecach, z nieodstępą laseczką w zaciśniętych palcach. Zanim jeszcze został moim nauczycielem historii, znałem już dobrze jego twarz z portretu Jana Styki. Wisiał ten portret w lwowskim Kole literackim, którego stary pan był przez jakiś czas prezesem i gdzie wieczorami grywał z ojcem moim w winta. My, dzieci, chodziliśmy tam na św. Mikołaje, Gwiazdki i kinderbale. Mało nam, gimnazjalnym żółtobom, imponowała naukowa i literacka kariera naszego nauczyciela. Nie przechwalaliśmy się tym, że uczy nas autor „Szkiców historycznych”, z których źródła trysnęła przecie brylantowa kaskada „Trylogii”. Ale między smarkaczami z jednym lub dwoma srebrnymi paskami na kolturze można było nieraz słyszeć rozmowę: „Kto was uczy historii? Eeee... A nas powstanie, członek Rządu Narodowego...”. Stary pan nie miał w sobie nadmiaru słodyczny i laseczkę nie od parady nosił. „Oh, ty osłe miętowy!” — wykrzykiwał nie raz, słuchając naszych wywodów. On, który w dziejopisarstwie polskim dawno generalskie szlify zdobył, przez całe życie gimnazjalnym tylko belfrem został. „Widen” uniwersyteckiej katedry odmówił za te tam właśnie powstańcze grzechy młodości. Raz tylko, słuchając odpowiedzi jakiegoś dziesięcio- czy jedenastoletniego rezonera, odstąpił od „miętowej” tradycji i powiedział: „E, tam, austriackie gadanie”. I bodajże się w język ugryzł, choć nam serca rosły, bo to jednak było „C.K.III, Gimnazjum imienia cesarza Franciszka Józefa I-go”. Więc na krótką chwileczkę zakucał się pan profesor Ludwik Kubala...

Kiedy już o profesorach mowa, nie mogę pominąć naszego jak i pułkownik Struś sąsiada — mieszkaliśmy w uniwersyteckiej dzielnicy — sławnego zoologa, Benedykta Dybowskiego. Została mi w pamięci różowa twarz otoczona białymi jak mleko włosami — i taką właśnie zobaczyłem we wspomnieniu pośród przejrzystych fal bajkalskiego jeziora, — kiedy w nie patrzył późnym latem roku 1939. Nad Bajkałem przeżył Dybowski długie lata zesłania po roku 63-cim i stał się najznakomitszym badaczem fauny tych wód. Polscy „zbrodniarze”, wywożeni przez Moskwę w owe dzikie strony, bogaty plon przynosili nauce: Dybowski opisał Bajkał, później Sieroszewski Jakutów, a Bronisław Piłsudski Ainosów...

Pewnego razu zabrał mnie ojciec na posiedzenie Sejmu galicyjskiego. Ciekawie rozglądałem się po sali, nad którą dominowała na wysokiej trybunie potężna postać marszałka Stanisława Badeniego. Ojciec zwrócił moją uwagę na jednego z posłów, siedzącego pośród „krakowskich stańczyków”, opodal majestatycznego Stanisława Tarnowskiego. Poseł, którego mi ojciec pokazał, był to siwy, pochylony pan, w długim czarnym surducie. Jeden rękaw surduta pusty, wsunięty był między guziki kamizelki. „To Józef Męciński — powiedział ojciec — stracił rękę w czasie powstania, wynosząc rannego kolegę z pola

*) W pięknej książce „Kraj lat dziecińczych” Zygmunta Nowakowski umieścił świetny i wzruszający szkic. Pisz tam o pokazanym mu przez matkę bezrękim malarzu — powstańcu, którego nazwiska zapomniał. To bez wątpienia Benedyktowicz.

STANISŁAW BALIŃSKI

Szkocki las

*Leżę gdzieś w szkockim lesie. Już słońce jesieni
Znużone pustką nieba, chyli się za wzgórze,
Jeszcze między drzewami ponsem się rumieni
I już błednie, jak srebrna, atlantycka róża.*

*Świat jest senny i cichy, świat jest pełen
zwierzeń
O jakichś nieprzeżytych radościach i smutkach;*

bitwy”. Patrzyłem z podziwem na tego konserwatystę, prezesa krakowskiego towarzystwa ubezpieczeń, zwanego „Floriana”. Jakże dalekie zdawały się te trzeźwe tytuły od romantycznego bohaterstwa jego młodości. Wiele lat później odrodzona już Polska odznaczyła pana Męcińskiego krzyżem „Virtuti Militari”. „To dobrze — mówił pan Syroczyński — że Męciński krzyż dostał, chociaż właściwie spełnił tylko swój obowiązek”. Nie było w tym odezwaniu się ani cienia zawiści, bo pan Syroczyński także został kawalerem orderu „Virtuti Militari”.

Tradycję powstania ożywiały i odnawiały corocznie obchody styczniowe, bardziej uroczyste w dziesięciolecie roku 63-go. W bibliotece ojca znalazłem kiedyś tomik wierszy p.t. „Miatie”. Był to zbiór poezji Aurelega Urbańskiego, poświęconych powstaniu i wydanych w jego 30-tą rocznicę. Pamiętam i gorącą dedykację na tomiku (spłonął wraz z całą biblioteką w Warszawie we wrześniu 1939 r.) i pana Aurelega, przyjaciela ojca. Ucharakteryzowany trochę na Napoleona III-go, chadzał często w pelerynie czy skrzydlatym haweloku, i był na lwowskim bruku jak gdyby dalekim echem „cyganów” Murgera, ostatni bodaj towarzysz Włodzimierza Stebelskiego i autora „Czerwonego sztandaru”. Bolesława Czerwieńskiego. Później, kiedy przeczytałem „Lalkę”, zawsze widziałem Ignacego Rzeckiego, nie wiem dlaczego, w kształcie Aurelega Urbańskiego. Jego „Dramat jednej nocy” wzruszał nam dziecięce serca jeszcze w starym teatrze hr. Skarbka. Czterdziesta rocznica powstania łączy się w mych wspomnieniach także z teatrem, ale już z nowym lwowskim teatrem, którym kierował od trzech lat wielki pan sceny polskiej, więcej Medyceuszów niż rodziną Medykę przypominający, Tadeusz Pawlikowski. Muszę trzymać pióro w cuglach, aby więcej nie pisać o tym niezwykłym człowieku, z którym obcowanie zaliczam do najcenniejszych wspomnień młodości. Otóż wieczór 21-go stycznia 1903 roku był dla lwowskiego teatru dniem premiery „Dyktatora” Jerzego Żuławskiego. Nie wiedziałem, gdzie zatrzymać rozszerzone niby gorączką oczy dzieciaka: na scenie, czy na widowni. Bo w łóżach i rozsiani w krzesłach siedzieli starsi panowie, mający w klapach surdutów białe wąsateczki obrzeżone amarantem, na których widniała cyfra: 1863. Byli to powstańcy. Patrzyli na ten swój dramat — z jakimi uczuciami? Bodaj z podobnymi do tych, które nas, legionistów, przejmowały na przedstawieniach „Gałązki rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego. Pamiętam, w parterowej łoży, po lewej stronie widowni, siedział stary pan Wojciech Biechoński, a na scenie młodzieńczy emisariusz Wojciech Biechoński przybierał do obozu Langiewicza. Na scenie... Nieznajomy — Kazimierz Kamiński, Langiewicz — Ludwik Solski, Pustowojtówna — Irena Solska, żuaw śmierci — Karol Adwentowicz... Została mi także z tego roku 1903 w pamięci mała książeczka „Za wolność i lud” Marii Wyslouchovej. Nie było to pierwsze jej wydanie, ale w tym rocznicowym roku wydano ją szczególnie pięknie i zaopatrzone szeregiem ilustracji. Ta prosta opowieść o powstaniu do dziś zasługuje na uwagę wydawców.

Rok 1913 — półwiecze. Inny to już był klimat, inne wichry wiały po Europie, roznosząc iskry raz płonącego, to znowu tylko tlejącego na Bałkanach pożaru. „Sprawa polska”, pogrzebana i wyszydzana przez oficjalną dyplomację, nagle zjawiała się przed oczyma chlubiących się swą trzeźwością polityków. Obydwe strony, gotujące się do jutrzejszego boju, zaczynały już walkę o dusze polskie, próbując przechylić na swą stronę opinie polskich kół politycznych. Ruch zbrojny wśród młodzieży, załatwiany dotychczas wzruszeniem ramion, stał się elementem coraz poważniej traktowanym w grach i rachubach. Dla ówczesnej patriotycznej młodzieży modlitwa Mickiewicza „o broń i orły narodowe” przemieniła się w sięgnięcie ręką po karabin i regulamin musztry. W tej atmosferze Lwów, który był jednym z głównych centrów tego ruchu, gotował się do szczególnie uroczystego obchodu pięćdziesięciolecia po-

wstania. Obchody te zawsze przecie były nie tylko przypomnieniem, ale jak gdyby przygotowaniem i przeglądem sił.

Kiedyś to w tym czasie, spotkałem literackiego redaktora „Gazety Wieczornej”. Pochylił się do mego ucha, rozczapirzył palce obydwu rąk i podniósł wysoko brwi. „Żeromski przysłał powieść” — wyszeptał. Istotnie, w odcinku „Gazety Wieczornej” zaczęła się wkrótce ukazywać „Wierna rzeka”. Ta arcydzieło stwarzała atmosferę i przygotowywała nastroje, w jakich miały się odbyć uroczystości rocznicy. Komitet pracował gorliwie długie miesiące; pamiętam codzienne narady prezesa Franciszka Rawity Gawrońskiego z ojcem, pamiętam iście wspaniałą wystawę pamiątek 1863-go roku, urządzoną w Pałacu Sztuki na Placu Powstawowym...

I jeszcze jedno przypominam sobie zdanie, które — o ile mnie pamięć nie zawodzi — w tym właśnie wypadku czasie. Umarł wtedy we Lwowie członek Rządu Narodowego, Józef Janowski, pamiętnikarz. Pogrzeb jego nabrał cech manifestacji. Dokoła grobu przystało w szuku jak gdyby wojskowym kilkunastu młodzieńców. Kurtki mieli na sobie szare, niby to mundury, maciejówki na głowach. Stał wśród nich rumiany krótkowidz, mój pierwszy zwierzchnik w uczniowskiej jeszcze tajnej organizacji, Tadeusz Żuliński. Nie było jakiejś tradycji dziedzic, bo Janowski był jego macierzystym dziadkiem, a dziadkiem stryjecznym Romuald Żuliński, stracony na stokach cytadeli warszawskiej 5 sierpnia 1864 r. wraz z Trauguttem, Jeziorańskim, Toczyńskim i Krajewskim. Dziedzictwa tego Żuliński okazał się godny. W rosyjskiej jeszcze Warszawie na przełomie 1914/15 roku zorganizował batalion warszawski Legionów, z którym jesienią 1915 r. wyruszył na front wołyński, gdzie wkrótce bahaterski zgon znalazł.

Z tego to grona, stojących przy grobie młodzieńców wystąpił, starszy od nich, ich zwierzchnik czy komendant i kresowym akcentem krótką wygłosił przemowę, kończąc ją słowami: „Chłopcy, baczność! Rząd Narodowy przed wami!”

Te słowa Józefa Piłsudskiego były jak gdyby wyciągnięciem ponad dół grobowy ręk młodzieży polskiej, gotującej się do nowego boju i szukającej w zaświatach krzepiącego uścisku dłoni swych poprzedników, powstańców...

Przyszła potem światowa wojna, a odrodzona w jej chaosie Polska postanowiła cześć należną oddać pozostałym przy życiu powstańcom.

Opowiadano mi, w związku z tym, o wydarzeniu, którego świadkowie mogliby jedynie stwierdzić, czy opowiadanie to było ścisłe. Szereg razy zamierzałem to przed wojną sprawdzić, nigdy jednak nie nadarzyła się ku temu sposobność. Historia smutna, gorzka, ale tak charakterystyczna, iż nabiera cech prawdopodobieństwa.

Przy jakiejś sposobności miał się Naczelnik Państwa oficjalnie (bodaj że po raz pierwszy?) spotkać w Warszawie z powstańcami. Ustawiono starszków, którzy nosili już swe mundury weteranów, w dwuszeręgu — i czekano na jego przybycie. Kiedy jednak miał już przejść przed frontem, zauważył, iż opodal głównej grupy stoi uszykowana osobno druga garstka weteranów. Na zapytanie, co to ma znaczyć, otrzymał podobno odpowiedź: „To Mierosławczycy, nie możemy stać z nimi w jednym szeregu”.

Zgniewał się Piłsudski bardzo (nie trudno o to było) na tę zawziętą po 60-ciu latach pamiętliwość, kazał połączyć oddziały, i wszystko odbyło się według programu...

Przypomina mi się jeszcze, gdy te wspomnienia niby połówkę karty księgi odwracam, rysunek niezapomnianego przyjaciela, Antoniego Kamińskiego. Nakreślił go, ten grottgerowski niemal miary poeta-malarz, w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości. Rysunek przedstawiał przegląd wojsk na Placu Saskim w Warszawie. Od strony ulicy Wierzbowej nadjeżdżał szwadron ułanów, na środku Placu wznosiły się jeszcze mury nawałt rozwalonej cerwiki i złoci święci patrzyli z mozaik Waśnicowa ziemniaki oczyma w świat, a w miejscu, gdzie wkrótce potem stanął pomnik Józefa Poniatowskiego, przystała gromada Starców. Patrzyli na padający w gruz symbol moskiewskiego nad tym krajem władania, patrzyli na zbliżające się szeregi Wojska Polskiego. Oni, którzy nie w mundurach szli do boju, patrzyli na tych młodych żołnierzy bez czułościwej słodyczy, surowo, badawczo, twardo. Jak nieraz gromada ojców spogląda na synów gromadę...

Może, skoro los pozwoli nam wrócić, zobaczymy na tym samym placu defiladę młodzieńców, niosących broń dla obrony Ojczyzny. I nowe się zakuje ogniwo — między nimi, dla których powstanie będzie już tylko historią, a nami, dla których było jeszcze życiem.

MARIA KUNCEWICZOWA

Kaźmierz nad Wisłą

Do Kaźmierz z Warszawy dojeżdża się drogą obzwożoną sokorami co najmniej tak starymi jak Wilanowskie lipy. Wzdłuż drogi z jednej strony towarzyszy podróżnemu Wisła, raz dalsza, raz bliska; z drugiej strony — wzgórze. Między Wisłą a szosą ściągają się łągi, zasypane jaskrami, ściągają się sadyśliwkowe, warzywniki i chałupy spowite w fasolę, w wino, w dzikie, w blade, pasiaście powoje. Zaś pod wzgórzami chmiel buja na wysokich tykach, co przypomina winnice i tej łagodnej, bogatej dolinie daje pozor prawdziwie włoskiej błogosci.

Tak więc jedzie się dorożką, autobusem, lub taksówką od stacji Puławy do miasta Kaźmierz Dolny — w szumie wielkich srebrnolistnych drzew, w szafirowym i złotym blasku rzeki, w chmurze zapachów słodkich, puszystych na wiosnę i gorzkich, berberskich jesienią.

Bliskość Kaźmierz można poznać po nagłym wstąpieniu się drogi i po spichrzach. Gość zaczyna widzieć Wisłę z wysoka, sunąć jak gdyby po grobli między zbawianą zielenią, a cichą, lśniącą wodą. Dwa spichrze późno-renańsowe ze szkarpami, ustrojone w attyki, niby w zalotne „czółka“, stoją już nad rzeką, patrząc cierpliwie w jej kapryśne prądy.

Mija się przylepiony do wzgórza wysoki mur farny, z za którego spadają na głowy raz kwiaty, raz owoce kasztanów i oto, wita cię, Polaku, wiecznie czynna, słońcem i księżycem oświetlona, nocą bezgwiezdną tylko przesłonięta — scena niezmiernego polskiego misterium — rynek. Wszystko, jak Bóg, czy król, czy los przed wiekami ustawił: w środku studnia nakryta spiczastym daszkiem gontowym na czterech słupach, w koło niej stragany pełne sielskiego dobra. Oddzielone jak gdyby rampą Kaźmierz i chodnikiem w czworobok ogradzają tę scenę kulisy tak piękne, że nie jeden widz, patrząc na nie, o śmiertelnych aktorach dramatu zapomni.

Przez front jednej kamienicy, datą XVI wieku znaczonej, kroczy kamienny olbrzym Krzysztof z dzieciątkiem na ramieniu. Wielki rak i ryba niedobra wychylają mu się z fal rzeźbionych na poprzek. Więc kijem wzgardnia żywiły, by swój skarb — Odkupiciela — na drugi brzeg stęknionej ludzkości dostawić. Obok godny mieszczanin, z szyją futrem okoloną, na zawsze w mur swego domu zaklęty. Na rogu domek-dziw: okap drugiego piętra na jednym wspiera się drewnianym cieniutkim filarzem wyrosniętym z ziemi. Dalej barokowe, przysadziste kamieniczki z fuksją i z „głupim Jassem“ w okienku. Niektóre ściany malowane są różowo, inne na kolor szaro-niebieski, gołębi, jeszcze inne — żółte. Kiedy słońce nad rynkiem stoi, ocieka on cały barwami, bucha życiem, kłoci się za śmiercią wraz ze swoim panem — Marchołtem. Kiedy księżyc między chmurami chodzi, rynek błyszczy martwo, jak teatr zaswiatowy Romea i Julii. Ale wyjdźmy z rynku. Kaźmierz jest punktem na mapie chrześcijańskiej Europy. Odsunięte od centrum doczesnego życia dwa kościoły — jeden świecki, farny i drugi Bernardyński, z wysokości dwóch wzgórz przeciwnych patronują miasteczku. Fara — zlepek stylów od romańskiego po barok — stanowi prototyp wszystkich lubelskich kościołów. Kłasztorny kościółek barokowy jest przybudówką do zameczystego gmachu, który, gdy się nań patrzy z dołu, płynąc łodzią, razi oczy smutkiem zakonnego bytu.

Między Farą a Rynkiem — krótka uliczka. Krótka i trudna do przebrnięcia, jak los. Po obu jej stronach bowiem czają się na przechodnia, tu — sidda diabelskie, tam udręki czyścica. Po stronie lewej — karczma. Rozłożysta weranda „Berens“, zwana przez malarzy „Rubensem“, „Berens“, czyli ślędz w śmietanie, zraziki nelsonskie, rydze, naleśniki. „Rubens“, czyli wódka. Wiezorami orkiestra. I szum, i pias, i serca bicie, i światła z okien na trawie rosistej w ogródku i od Wisły dym ognisk flisaczych, płynących do morza.

Po stronie prawej: cyrulik, skład apteczny, rejent, czytelnia, Liga Obrony Państwa, policjant, skład trumien.

Taki jest w najgrubszym zarysie szemat odwieczny Kaźmierski misterium. Ale gdyby kto podług tego szematu chciał Kaźmierz namalować, albo tylko odczuć, popełniłby wielką omyłkę. Namalowałby wzór geometryczny, czy utopijny pejzaz, odczułby radość zmysłów czy romantyczną tęsknotę — nie namalowałby i nie odczuł Kaźmierskiego życia.

Któż bo mieszka w Kaźmierzu? Jacy są aktorzy rynkowego dramatu? Nic innego nie mogą odpowiedzieć, niż to, że w Kaźmierzu żywi mieszkają razem z umarłymi. Że duchy chodzą obok rybaków, upiory pozuja malarzom, a przewoźnicy nie tylko baby i kury do Janowca przewożą, ale i zwidzenia.

Wiele jest przyczyn tego pomieszania rzeczywistości z ułudą. Pierwsza, że pewnie krajobraz szczególnie nasycony aluzjami do prehistorii, pełen wązów, rozpadlin, umajony florą tak pyszną, że nasuwa myśl o rajach fiołkowym, lipowym, dzwonkowym. Wisła go opływa, jak Leta, niespodziewana i senna.

Przyczyna druga — romans króla Kaźmierz z Esterką. Król był prawdą, Esterka była mitem. Jednak nie tylko ruiny zamku stoją po dziś dzień ponad Farą, ale i świeczniki szabasowe — ofiarowane przez Esterkę — płoną co piątek w bożnicy. Żydowie zatem

oprawdzający turystów prawią rzeczy, od których historykom bolesnie puchną uszy.

Przyczyna trzecia: malarze. Pierwsze bodaj, ogólnie znane sztychy Kaźmierz datują się z wieku XVIII-go. Potem już nie było w Polsce znacniejszego malarza, co by o Kaźmierz nie zahaczył. Malowano go w świetle coraz to innych szkół: mód artystycznych, innych indywidualności. Cóż więc dziwnego, że kapryśne wersje malarskie przysłoniły autentyczną topografię, prawdziwą architekturę, zwykły deszcz i powszednie słońce?

Przyczyna czwarta — bieda. Kaźmierzenie, to ludzie bardzo biedni, dziesiąta woda po świętnych renesansowych mieszczanach. Malarze — odjeżdżając — zostawiają im w roku trochę tenisowych pantofli, czasem leżak złamany, pieniędzy nader mało. Nie wiem kogo obwiniać o przedwojenną nędzę Kaźmierzan, którzy są dziećmi zyznej, uśmiechniętej doliny? Pewnie te same wrogie moce, które tę wojnę sprawiły. Jedno wiem: Kaźmierzenie od swojej nędzy uciekali w sny. W bajki. W dziwactwo. Nigdzie tylu wariatów nie widywałam, jak w październikowym zmierzchu wokół studni na Kaźmierskim rynku.

Łagodni szalenicy, aktorzy i widzowie polskiego misterium, obyż Św. Krzysztof zmienił na koniec w rzekę miodem i mlekiem płynącą tę Wisłę, którą od wieków z takim trudem przeżywa, niosąc Zbawiciela.

JADWIGA CZECHOWICZ

List z Jerozolimy

Terem.

Miasto, tłum kolorowy płynie ulicami, Ruch, pośpiech, tak zwyczajnie jest, ludno i gwarnie. Dzień nuży, praca myśli odrywa, czasami — Wieczorem książka, listy, rozmowy, kawiarnia. Chodzę codzienne Jafską, i wiesz, mimo wszystko, że obce sklepy, bruki i ludzie i słowa, Mam tu już jeden zakręt, taki swój i bliski, Bo mi się wciąż wydaje, że tam jest Kurkowa. Że wystarczy na drugą stronę przejść ulicy, Ominąć sklep, gdzie wisi szylid napół zatarty, (Jak u „Gwiazdy“ — pamiętasz?) a będzie strzelnica, Lipy i dom nasz widać pod czterdziestym czwartym. Codzień chcę pójść tamtędy, codzień się mozoli, Rozum z falą urojeni śmiesznych i dzieciennych, Lecz może Cię to nudzi? — a mnie trochę boli... Więc mówmy o czym innym, dobrze? o czym innym! Jest tu góra — zszarzała od starczych oliwek, Szczyt w zieleni cyprysów i palm smukłych tonie, Jakies snują się w myślach Synaje, Niniwy, Stary Testament, a tu nagle — patrz! Jabłonie! Kwitną różowo-białe, wiosenną ulewą Płatków, woni i wspomnień jak marzenia błądych, Stare miasto zapada się, cichnie, rozwiwa, Zostały tylko sady wiosną... nasze sady... Pójdę aleją białą i upieszczę w dżoniach, I przytulę do twarzy kwitnące gałęzie, Przecież tam — wśród tych drogich, wysnionych jabłoni, — Serce moje zostało i drży na uwięzi. Było to tylko jedno skaleczące drzewo, Dalej cyprysy, cedry i gaje oliwne, Był luty, a na chwilę maj mi się rozśpiewał... Wszystko wróciło. Śmiesznie i smutnie i dziwnie... Lecz o czym innym mamy mówić — więc posłuchaj: Wieczory tu nie płoną, jak u nas świetliście, Ale jest ciemno, pusto i tak jakoś głucho, Tak nieprawdopodobnie i nierzeczywiście. Czasem spotykam kogoś... te ruchy znajome... Biegnę, doganiam... mijam... i już wiesz — zdudzenie. To znowu mi się zdaje, że idę do domu. Z jakiegoś tam nudnego wracam posiedzenia. A tam czeka już ciepłe, przytulne mieszkanie, Fotel, książka i tylko wystarczy zawołać, A ktoś odpowie: „idę“, ktoś wstanie od stołu... O ta najdroższa twarz. — Wiesz co, kochanie. Lepiej przerwę list. Zbyt mi jakoś jest bezdomnie, Wszystko wraca, dzień płacze wiosenną szarugą... Bądź zdrowa, dzielna, nie miej, proszę żalu do mnie. Czasem myślę... że to już za długo... za długo...

Deszcz

Szaro, mokro, bruki oślizgłe. Drzewa nasiąkłe, wilgoć i mgła. Za wystawą mdło się umizga, Pęk kwiatów — wspomnień z innego dnia.

Deszcz i papieros, błąd wyrudziały, Ni trochę ciepła, przejmuję deszcz, I tak od rana i przez dzień cały, Deszcz i papieros, papieros — deszcz.

Myśli odarte jak drzewa z liści, Z treści i sensu, z własnego „ja“. Dokąd uciekać i dokąd iść mi? Bruki oślizgłe, wilgoć i mgła...

Nieme spojrzenie w zmetniałe okno, Ból tępy wbił się w duszę jak kleszcz, Kwiaty umarły, ulice mokną, Papieros gaśnie, papieros... deszcz...

TEODOZJA ŻULAWSKA

Warunki pokoju

Są książki, których treść właściwą należy czytać między wierszami. Do takich należy dzieło prof. E. H. Carr'a „Warunki pokoju“.

Pierwsze rozdziały poświęca autor analizie przyczyn wojen światowych, dowodząc, że łączą się one zawsze z wielkimi światowymi rewolucjami. Gdyby ludzkość zdawała sobie sprawę z nurtujących ją sił i potrafiła, we właściwym czasie, kierować je we właściwe koryto, nie dochodziłoby do kataklizmów. Wojna dzisiejsza związana jest z kryzysem zasad liberalnej demokracji i samostanowienia narodów oraz z kryzysem moralnym, który każe szukać nowych ideałów dla powojennej przebudowy świata.

W związku z kryzysem samostanowienia narodów prof. Carr przytacza niezbyt miły dla polskiego czytelnika przykład, iż chłop polski rozumie przez polskość li tylko katolicki obrządek i regionalne obyczaje wioski, ale pojęcie państwowości polskiej jest dlań o wiele mniej istotne, niż dla niemieckiego chłopca pojęcie państwowości niemieckiej. W czasie plebiscytu śląskiego bowiem, informuje na podstawie nieznanego źródła, większość ludności mówiącej po polsku głosowała za Trzecią Rzeszą, natomiast ludność, której rodzimym językiem był niemiecki, całą opowiedziała się za niemieckim państwem.

Pisząc o kryzysie zasad demokracji, Carr podkreśla, że stały się one od dawna czymś hasłem. Ludzkość musi znaleźć sobie nową ideologię, która ma przedstawiać bliżej nieokreślony zlepek chrześcijaństwa i komunizmu. Nowa wiara, ratująca ludzkość od moralnego kryzysu, winna

*) E. H. Carr, Conditions of Peace, Londyn 1942,

zabezpieczyć prawa szarego człowieka, który w ramach demokracji nie znalazł podstaw swego bytu a w rozgrywkach potęg kapitalistycznych i militarnych pozostał na delekim planie.

Jakimże ma być ten przyszły ład, który według profesora Carr'a zabezpieczy dolę tego szarego człowieka?

Autor stwierdza, iż podstawowym błędem Ligi Narodów było, że przystąpiła ona równocześnie do likwidacji wojny i budowy nowej Europy. Pierwszy bowiem problem to dyktowanie warunków zwycięzonemu, drugi zaś obejmuje współpracę zwycięzcy ze zwyciężonym.

W pierwszym okresie państwa zwyciężone mają pozostawać pod kontrolą zwycięzców. W związku z tym mocarstwa okupujące Niemcy winny mieć bazy wojskowe na terenach państw sojuszników położonych między Rosją a Wielką Brytanią. Obszar bowiem niemiecki dzieli autor na strefę opieki brytyjskiej i rosyjskiej. Kierownictwo spraw Europy spocząć ma w rękach stoworu nazwanego „European Planning Authority“, którego działalność ma opierać się na nowych zasadach ekonomicznych, społecznych i na nowej wierze. Carr wyraża przytem opinie, że zorganizowanie takiej instytucji nie napotka na większe trudności, wobec istnienia już dzisiaj całego aparatu hitlerowskiego rządzącego na tym terenie. Instytucja ta będzie więc planować produkcję, uwzględniając przede wszystkim potrzeby konsumenta, nie zaś, jak dotychczas, zyski producenta, utworzy wszech europejski bank, finansujący inwestycje, określi kierunek i rozmiary handlu zagranicznego, powoła do życia społeczne organa, ustali, mówiąc najogólniej, „priority“ wszelkich poczyną tak w dziedzinie gospodarczej, jak i społecznej. Przyświecać tym pracom będzie szlachetny cel wyrównania poziomu życia wszystkich krajów, bo autor zastrzega się, iż bynajmniej nie pragnie utrzymania najwyższego poziomu w Niemczech, jak to ma miejsce przy obecnej federacji europejskiej. Takie stawianie sprawy, łącznie z doradzaniem wyższemu państwu w przyszłości dzisiejszego aparatu hitlerowskiego rządzącego w Europie, jest ostrym zgrzytem. Nie na darmo niemiecka propaganda usiłuje, w obliczu zbliżającej się klęski, ratować państwowość niemiecką od zagłady hasłami takiej przebudowy świata, w której Niemcy zajmą niepoślednie miejsce i nie może mieć dobrej prasy, nawet nieświadome, przytakiwanie niemieckim wykrętom.

Carr słusznie zauważa, że wojna była dotychczas jedynym okresem, w którym żadna produkcja nie kalkulowała się za drogo, a przytem produkcja wojenna była jedyną produkcją opartą na potrzebach konsumenta, nie zaś producenta. Producent wojenny produkuje bowiem tyle, ile wojna konsumuje. Zauważa to Carr i wysnuwa wniosek, że jeśli ludzkość potrafi wyrzekać się dla wojny wszystkiego, rezygnować z wielu praw, to dlaczegożby nie miała w czasie pokoju wyrzec się również wielu przywilejów, aby produkować potrzebne artykuły, a nie narzędzia mordy. Dyscyplinę wojenną można przedłużyć na powojenny okres, do czasu gdy wreszcie zostanie wyrównany poziom życiowy, do czasu gdy szary człowiek ophywać będzie we wszystkie dobra. A więc frontem do szarego człowieka, nawet za cenę pozbawienia go wolności.

Całe to bardzo sugestywnie podane rozumowanie kryje w sobie skrajną ideologię dyktatury, w której ramach, skądolwiek by płynęła, nie znajdzie szczęścia ani szary człowiek, ani mniejszy naród, którego prawa do państwowości kreślić ma rylec li tylko — jak chce Carr — ekonomicznej i strategicznej racji jego istnienia.

Z wielkim zastrzeżeniem przyjmujemy dziś wszelkie wiadomości, a tym bardziej plotki, ale po zaznajomieniu się z „warunkami pokoju“, proponowanymi przez prof. Carr'a, plotka, iż jest on również autorem artykułu z „Times'a“ z dnia 11 marca, nabiera koloru prawdy.

Ma rację Carr w omawianej książce, że w okresie wojny ludzkość rzeka się szeregu swych wolności, ale nie zapominajmy, że rzeka się swiadomemu i potu, by je po wojnie odzyskać.

KRONIKA

Piszący zawsze sporo o Polsce „Scotsman“ (z dn. 20 lutego) donosi o konferencji prasowej w Edynburgu, na której przemawiał dziekan Polskiego Wydziału Medycznego, prof. Jurasz, który świeżo powrócił z podróży po Ameryce. Był on tam przez 4 miesiące, dziękował za ofiary na Polski Wydział Medyczny w Edynburgu i wygłaszał odczyty. Uważa on, że Ameryka w 90% została zmobilizowana, ale że nie każdy zdaje sobie sprawę wystarczająco z tego, że Niemcy jako cały naród winni są w tej wojnie. Amerykanie oskarżają tylko partię hitlerowską.

„News Chronicle“ (z dn. 24 lutego), opisując wystawę prac malarzy alianckich w Instytucie Francuskim w Londynie, poświęca dużo miejsca malarzowi polskiemu, Feliksowi Topolskiemu, opisując, jak uratował on swe szkice i rysunki z okupowanej Warszawy, drogą dyplomatyczną.

„Daily Sketch“ (z dn. 24 lutego) podaje wiadomość o wyprodukowaniu przez Cękalskiego filmu krótkometrażowego p.t. „Scottish Mazurka“. Pracuje on w Szkocji nad polskimi filmami dokumentarnymi. Do filmu użył on zespołu Anglo-Polish Ballet z Hałamą i Konarskim oraz Chóru Armii Polskiej.

Czasopismo ilustrowane „Picture Post“ (z dn. 27 lutego), pisząc o sztuce w armii, podaje fotografię polskiego rzeźbiarza Kopera przy pracy w klubie YMCA oraz pisze o Marku Żuławskim.

W najbliższych numerach pisma ukazać się wiersze Stanisława BALIŃSKIEGO, Ludwika BIE-SIADOWSKIEJ, Romana BRANDSTAEDTERA, Zbigniewa BRONCLĄ, Władysława BRONIEW-SKIEGO, Jadwigi CZECHOWICZÓWNY, Marii PETRY, Tadeusza SOWICKIEGO, Jirzego WOL-KERA (w przekładzie Marii PETRY).

POWIEW CZY PRZEDWIOŚNIE?

4 kwietnia ukazało się w prasie sprawozdanie z przemówienia ambasadora Bullitta ogłoszonego na zebraniu zorganizowanym przez Uniwersytet New-Yorski. Według komunikatu Bullitt podkreślił, że naciskiem prawa mniejszych państw i wskazują na konieczność konfederacji. Mówca powołał się na Kartę Atlantycką, która stwierdza, że kraje nie dążą do zdobycia terytoriów i że pragną, by nie nastąpiły żadne zmiany terytorialne. Karta przewiduje prawo wszystkich narodów do wybrania sobie formy rządu, pod którą chcą żyć, i pragną, by prawa suwerenne i niepodległość przywrócone zostały tym narodom, którym zostały przemocą odebrane. Stany Zjednoczone wezmą udział w organizacji pokoju światowego, jeżeli warunki proponowane dla układu pokojowego zgodne będą z tymi zasadami.

Czy PAT podał dokładnie przemówienie byłego ambasadora Bullitta, wygłoszone na zebraniu zorganizowanym przez Uniwersytet New-Yorski? Prawdopodobnie nie. Sprawozdawcy wtykają zwykłe przemówienia do ogólnego koryta, piszą utartymi zdaniem, posługują się ukutymi zwrotami, zwanymi przykro słoganami. Te slogany pozostaną tak jak specjalne choroby po wojnach.

Mieliśmy długo po pierwszej wojnie światowej „hiszpankę”. Pisaliśmy o „odbudowie” i „rozbudowie”, chorowaliśmy na wyraz „aspekt”, mieliśmy na składzie „elitę” i „sanację”. Wyrazy te, puszczane w ruch, sponiewierane zostały tak, jak termin „demokracja”. Dziś mamy „wojnę totalną”, przysięgamy na „Kartę Atlantycką”, która dla wielu ma nawet być dekalogiem, panaceum na wszystkie choroby.

Ambasador Bullitt przyznał się do wspólnoty europejskiej. Kilka lat temu było to grzechem w Ameryce. Izolacjonizm był modą, a raczej chorobą nagminną.

Ambasador Bullitt zwalczał tę chorobę, był długi w Europie. Ostrzegając przed przyszłą wojną, przed możliwością klęski, Wyśmiewano go, zbywano wyrazem „dziennikarz”.

Był przyjacielem jednego z najwybitniejszych dziennikarzy amerykańskich — Johna Reeda. Ten syn zamożnych rodziców, dwadzieścia lat temu, zerwał z rodziną, założył własne redakcyjne pismo, był walczącem z amerykańską plutokracją. Wyjeżdża do Rosji Sowieckiej. Pisz o „Dziesięciu dniach, które wstrząsnęły światem”. Umiera na tyfus, pozostaje po nim wspaniała książka. Dziś książka ta została wycofana z obiegu wraz z wieloma bohaterami tego historycznego utworu.

Urna z prochami jego została wmurowana w ścianę Kremla. Przyjaciel Johna Reeda — Bullitt odwiedza Rosję. Gdy demokracja Roosevelt obejmie stanowisko prezydenta, Bullitt wpływa na uznanie Rosji Sowieckiej.

Jedzie jako ambasador do Rosji. Jeszcze przedtem u amerykańskiego ambasadora w Warszawie rozwija plan współdziałania między Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką. Jest pełen entuzjazmu. Chce zaprzeczyć wszystkie siły do walki z faszystyzmem i hitleryzmem.

Po pewnym czasie Bullitt opuszcza Moskwę. Przyjaciele jego demokracji oczekują z pewnym lękiem jego powrotu, obawiają się nagminnego, przesadnego rozczarowania, „przejęcia pałki” na prawo.

Nikt nigdy nie zakwestionował parasola tylko dlatego, że Zulus lub Hotentot nosi go pod pachą. Nikt nigdy nie zawestionuje okularów dlatego, że maipa wdziaje je na ogon. Idee społeczne nie mają szczęścia okularów lub parasola. Muszą długo po klęsce schować głęboko swój nurt, by wypłynąć przy nowym powszechnym trzęsieniu świata w podstawach.

Hasła Wielkiej Rewolucji Francuskiej, skapanie wielokrotnie we krwi, były testamentem XIX w. a upadek tych haseł był zawsze zapowiedzią reakcji. Kto rewidował konstytucję, wyrzekając się Monteskiusza, ten składał zwykle daninę nie na rzecz „kierowanej demokracji”, lecz „zorganizowanej reakcji”. Mamy zawsze do wyboru między Deklaracją Praw Człowieka i Obywatela a Świętym Przymierzem wcale nie świętych ludzi w rodzaju Metternichów i Talleyrandów.

Bullitt rozczarował się, ale nie do postępu. Nie przeżył wstrząsu, który każe szaraczkom wyklinać „kasę chorych”, potępiać ustawy socjalne tylko dlatego, że zostają gdzieś skompromitowane, wypaczone. Wstrząs ten zaciąga długo na wielu mózgach karmiących się łatwą myślą, torując drogę dla wsteczników. Dla nich każdy wyraz

społeczny będzie nieszczęściem grożącym przewrotem.

Teraz Bullitt wzywa, by nie nastąpiły zmiany terytorialne, które nie są w zgodzie ze swobodnie wyrażoną wolą zainteresowanych narodów. Obawia się, że jeżeli będzie inaczej, to rozczarowany i zniechęcony naród Stanów Zjednoczonych powróci ponownie do izolacjonizmu.

Gdy Bullitt oświadcza, że naród czy rząd Stanów Zjednoczonych nie podpiszą żadnej tyranii narzuconej jakimkolwiek narodowi przez inny naród, to każdy czytający domyśli się o co w tej algebrze chodzi i jakie cyfry podstawić.

Po pierwszej wojnie światowej przeszliśmy przez różne wstrząsy, przeżyliśmy groźną chorobę plebiscytów, oraz 90% -owe zwycięstwo w Saarze. Przywrócićmy do takiego głosowania do ciał ustawodawczych, by 98 i pół % stanęło do urny wyborczej, a 99% głosowało na jedną listę. Powszeczne głosowanie przeistoczno w klakę cyrkową. Po każdej zbrodni dyktatorzy demonstrowali komedią, 98 i pół było im za mało, siegali do 99 i pół %, nie gardząc w pewnych okęgach 100%. Traktowano je jako ogień bengalski oświetlający wielkość wodzów, a baczo, by nie przeistoczył się w ogień parzący oblicza dyktatorów. Obrzydzili nam skutecznie demokrację, plebiscyt, wolę narodów, zbezcześcili najważniejsze wyrazy, tak iż nie wiadomo co uczynić z tymi terminami, jak je oczyścić, jak je obmyć z krwi.

Będzie ciężka rzeczka „zrehabilitować” szanbione wyrazy, uratować hasła sponiewierane przez złe użycie. Biurokraci odegrali rolę faryzeuszów. Reakcja nie karmiła się własną cnotą, a tuczyła się grzechami przeciwników.

Znaleźli się już na świecie obrońcy analfabetyzmu, którzy dowodzą, że powszechne nauczanie nie uratowało Niemców od generalnego uznawania zbrodni. Obskuranci odziani w togi ekonomistów dowiedli, że postęp techniczny prowadzi do zubożenia kraju.

W okresie kryzysu gospodarczego przeklinano w Polsce prąd elektryczny, ciężarówkę, podsuwając myśl o zapręczeniu ludzi do wozów wobec nadmiaru rąk roboczych. Są to filozofowie okresu kryzysu i mroku. Rosa ściąga oczy odbiera im chęć wiary w zorzę. Bullitt ulegał entuzjazmowi przyjaciela — Johna Reeda. Nie boi się rosy, a wierzy w zorzę. Czy jest samotny, czy ma przyjaciół jedynie w uniwersytecie?

Myśl niezależna i wolna wygląda w tej chwili na świat boży jak pierwiosnek. Pierwsze lepsze dmuchnięcie grozi kryzysem, a licznym słów, wyrazy utarte mogą ją zupełnie zdławić i zdusić. Fałszywe banknoty demokracji krążą z wielką swobodą na międzynarodowej giełdzie politycznej. Wypierają one doktryny, które mimo wszelkich pozornych rozczarowań na świecie wracają niezrażone chichotem obskurantów XX wieku.

Izolacjonizm jest niebezpieczną groźbą dla tych doktryn. Zapowiada zamknięcie drzwi od Europy hałasów, schowanie się do własnego gabinetu w dni słońca i burzy. Izolacjonizm jest to zbyt tani parol, który może przewrócić pierwszą lepszą burzę dziejową. Jest to wycofanie się aktora z ostatniego aktu rozegranej tragedii. Amerykanie przekonał się, że trudno jest oddzielić się od Europy. Teraz płacz z lichwą kosztu handlowe izolacjonizmu. Choroba ta dotknęła i inny kraj, wierzący, że można odgrodzić się od świata. A cały świat ponosi skutki tego wyodrębnienia.

Tango lub foxtrott łatwiej przedostawały się z kraju do kraju niż jakakolwiek myśl. Zakazane w ciągu wielu lat tańce w jednym państwie wróciły i triumfują, odbijając sobie czas stracony. Na tym polu nie było izolacjonizmu. Na rogatkach celnych pilnowano jedynie myśli. Gry sportowe łączyły łatwiej na boisku narody, niż hasła wolności. Rodziła się wspólnota pięści i nóg na zgubę myśli, uświęcona olimpijskimi igrzyskami, rozegrana z pomocą Niemiec. Trzeba było rzezi światowej, by ocenić wartość tej międzynarodówki przeciwstawianej innym.

Czy będzie inaczej? Czy jest to jedynie nowa piosenka nuciąca dla zwodzenia, dla oszukania, dla wyprowadzenia w pole tych, którzy tak łatwo zapominają? Można się poddać utartym zdaniom, wyrazić nadzieję że tak nie będzie. Wiara w przedwiośnie odpowiada pragnieniu naszych serc. Ulegamy złudzeniu, i nieraz powiew uchodzi za prawdziwy wiatr wiosenny. Słyszymy coraz częściej nowe judzące wyrazy. Wyglądamy przedwiośnia i pieszczą nas mile słowa Bullittów.

I. Rzeczycki

LISTY Z AFRYKI WSCHODNIEJ

KORESPONDENCJA WŁASNA „W DRODZE”

Nairobi, w marcu 1945 r.

Zawsze wierzyłem w przeczecia, a przeczecie moje powiedziało mi już w roku Pańskim 1912, kiedy po raz pierwszy czytałem „Listy z Afryki” Sienkiewicza, że kiedyś będę we Wschodniej Afryce, dokładnie w Tanganice, która była podówczas kolonią niemiecką. Zaczętem nawet składać pieniądze na tę wyprawę. Na podstawie Jakubskiego „W krainach słońca” i innych podręcznych książek, wylizałem skrupulatnie, ile będzie musiał najać „pagazi” czyli murzyńskich tragarzy na tę „safari” (podróż), i ze wszystkich książek wypisywałem skrótowo słowa w języku Swahili, którym porozumiewają się wschodnio-afrykańskie szczepy.

No i co państwo powiecie? Po 30 latach znalazłem się istotnie w Afryce Wschodniej i przejechałem dokładnie przez te miejsca, o których pisze Sienkiewicz i Jakubski. Podróż wyglądała co prawda nieco inaczej, niż to sobie planowałem w roku 1912. Zamiast wędrować piechotą z karawaną murzynów idących gęsiego i dźwigających na głowach paki, podróżowałem pociągami z wagonem restauracyjnym, z którego oglądałem w czasie lunchu żyrafy i antylopy na odległość czasem 30 kroków, względnie autobusem i samochodem po zupełnie dobrych drogach. Ale przyjechałem. I przyznam się nawet, że pomimo czteromiesięcznego tam pobytu nie nauczyłem się więcej Swahili, niż umiałem już w pierwszej klasie gimnazjalnej w Polsce, dzięki Sienkiewiczowi i Jakubskiemu.

I jak tu nie wierzyć w przeczecia?

Przed wszystkim ludność nasza jedzie do Afryki „z duszą na ramieniu”. I niema się znów czemu tak bardzo dziwić. Element wyekwipowany z Rosji do Afryki, to w ogromnej większości rodziny żołnierzy naszych na Bliskim Wschodzie, a więc przede wszystkim ludność wiejska: kobiety i dzieci. Płóść męczyzn nie przekracza kilku procent. Procent inteligencji — minimalny. Proszę sobie wyobrazić naszą pocziwską kobiecinę z kilkorgiem dzieci (liczne rodziny nie trafiają się już zresztą tak często: wiele małych trumien pozostało na północy), którą pakują na wielki okręt, jakiego w życiu nie widziała, i wiozą do Afryki, o której wie tylko, że to są „gorące kraje, gdzie są sami murzyni”. I to wiozą przez morze „szerokie i dalekie”, o którym słyszała tylko w bajkach. Na tym morzu mają być w dodatku jakieś straszne „miny”. Dziwna kobiecina (ach, jakże dzielne są te nasze chłopki!) patrzy z wielką nieufnością na pocziwne bałwany przelewające się leniwie po Indyjskim Oceanie i dopytuje się, gdzie tu są te miny. Miny stanowią dla naszych ludzi przedmiot nabożnego strachu, chociaż właściwie nie wiedzą dokładnie co to jest. Mężczyźni, chcąc pokazać swoją wyższość i znajomość współczesnego wojennego rzemiosła, opowiadają babom, słuchającym ich z przerażeniem podziwem, niestworzone rzeczy.

Przytoczę podслухany urywek rozmowy.

— Kiedy to, widzisz, — powiada jakaś wcale rozgarnięta kobiecinka, — morze przecież takie duże, że żeby te Niemcy nie wiem ile min nawrzuć, to zawsze się znajdzie takie miejsce, skąd można przejechać. I Angliki pewnie takie miejsca znają.

Jakiś dziadzio, który poprzednio prawił babom o minach, jest wyraźnie niezadowolony, że mu psują nastroj wśród publiki: — Madracie, madra, ale Niemcy też mądre, cholery. Widzicie, oni porobili takie miny, co mają w sobie magnes. I jak tylko okręt jedzie, to ci taka mina sama do niego płynie zdaleka, bo ją żelazo ciągnie.

— O Matko Święta. To już nie nie poradzi?

Mówca jest zadowolony z efektu i postanawia dodać ducha maluczkim.

— Coby tam nie poradzi! Angliki też nie głupie, nie bójcie się. Oni zato pozakładali na statkach takie elektryczne druty, co jak ci taka mina za blisko przypływie, to ją ta elektryka odpycha. I mina nie może ani naprzód, ani w tył. Bo ją z tyłu magnes pcha, a z przodu elektryka przytrzymuje. I jak ci taka mina stanie, to dopiero Angliki do niej strzylają. I nie mi taka mina nie zrobi.

— A na naszym statku są takie elektryczne druty?

— Ma się wiedzieć, że są — odpowiedź jest kategorierna.

Audytoryum oddycha z ulgą i rozgląda się po olinowaniu statku. Uwaga ogólna zdaje się skupiać na Bogu ducha winnej antenie.

— A gdzie? — pyta jakaś dziewczyna.

Ekspert minowy burza się: — Głupia. Myślisz, że ci będą takie rzeczy pokazywać. To jest tak zrobione, żeby Niemcy o tym nie wiedzieli. Tajemnica wojskowa. Mówię, że są, i tyle.

— Ano, to i niema czego się bać — konkluduje jakaś staruszka.

— Ino — na to znów mówca — elektryka może się, widzicie, popsuć.

— O Jezu, i co wtedy?

Reszty nie słyszałem.

Obawa min i podwodnych łodzi zaciera się zresztą po kilku dniach podróży, próbne alarmy przestają wywoływać nerwowość, i uwaga podróżnych zwraca się ku delfinom i latającym rybom.

Jest jeszcze inny moment w podróży, który nie przyczynia się bynajmniej do uspokojenia naszych ewakuowanych o ich przyszłe losy w Afryce. Jest to przystanek w Indiach. Ludność nasza jest tam zbierana w obozie przejściowym, a ponieważ ewakuowani do Afryki nie mogą dostać wioz w indyjskich, więc nie wolno im zasadniczo wychodzić z obozu. Sam oboz położony jest prawie że na pustyni, otoczony drutami kolczastymi i strzeżony. Namioty duże, mieszczące po kilkadziesiąt osób, jedzenie nie nadzwyczajne, tylko dzieci dokarmiane są intensywnie dzięki staraniom placówki polskiej. Oczywiście do wszystkich nie ma nic wspólnego z tym, co czeka naszą ludność w Afryce. Ale, Bogiem a prawdą, trudno ludzi o tym przekonać. Nasz chłop ma w swojej naturze sporo nieufności, a że w geografii orientuje się słabo, więc nie tylko uważa indyjski oboz przejściowy za przedsmak tego, co go czeka w Afryce, ale ma nawet mocne wątpliwości, czy to przypadkiem nie jest jakaś część Afryki. Tym bardziej, że wokół widzi pustynię, a Hindusi wydają mu się podejrzanie podobni do murzynów. Ludzie pocieszają się przede wszystkim tym, że gorzej niż było już im nie będzie. I muszę powiedzieć, że biorąc pod uwagę ogólny zły stan nerwowości ludzi i ich wewnętrzne przekonanie, że na Czarnym Lądzie czeka ich raczej czarna przy-

szłość, nasi trzymają się w drodze bardzo dobrze.

Ale oto jesteśmy już w małym afrykańskim porcie. Słońce żniża się szybko ku lasowemu palm. Chwilami fala słodkiego zapachu oleandrów uderza w okręt i człowiek poprostu zachłystuje się aromatem. Wszystko wyległo na pokład. Nikt jeszcze nie wie, kiedy będziemy wysiadać na ląd. Tymczasem między statkiem i wybrzeżem przebiega się motorówka. Nagle na statku zaczyna się ogromne poruszenie: na jednej z motorówek jadącej z portu powiewa polska bandera. Ludzie zaczynają pokazywać ją sobie palcami. I jakby cudem jakimś, napięcie zdenerwowania spada nagle. Ludzie oddychają z ulgą. Widać tu już „nasi” na nich czekają. Widać nie jadą tylko do obcych. Zaczyna się zgadywanie, kto też to może jechać? Sprawa wyjaśnia się wkrótce: to przedstawiciel delegata Ministerstwa Opieki Społecznej na Afrykę Wschodnią jedzie przyjąć uchodźców i zawieźć ich do osiedla.

Ludzie zaczynają wpadać z jednej ostateczności w drugą. Jak przedtem widzieli wszystko w najczarniejszych barwach, tak teraz przesadzają w opowiadaniu sobie jak najlepszych nowin. Krążą wiadomości o przyjemnych domkach jednorodzinnych, o możliwości doskonałego zarobku, o wielkiej swobodzie. Nikt dobrze nie wie, skąd te wiadomości pochodzą, ale nastrój jest doskonały. Na przedstawiciela delegata wszyscy patrzą prawie z rozczuleniem. Niektóre baby mówią nawet: „całuję rączki pana ministra...”

Z tym „całowaniem rączek” to też jest cała historia. Uchodźców naszych — należałoby ich raczej nazywać wygnaneckami... — witają po drodze Anglicy bardzo serdecznie. Miejscowe komitety pań angielskich organizują na przystankach kolejowych bufety z kanapkami, ciastkami, kawą, herbatą i lemoniadą. Na dworcu w Nairobi gra im murzyńska wojskowa orkiestra: hymn angielski i polski. Owoco rozdaje się ciałami pakami po wagonach, a dzieciom daje się paczki cukierków. Nasze kochane babki są tym onieśmiałe, ale i wzruszone, i coraz to koraś z nich całuje w rękę jakąś Angielkę czy nawet Anglika i jeszcze napomina dzieciaki: — A pocałujcie w rękę za cukierki pana, Maciuś. — Angliki, u których całowanie w rękę nie jest przyjęte, są tym zarówno zdziwieni jak i zakłopotani.

Obecnie ta sprawa jest już uregulowana i ludzie jeszcze na statku otrzymują instrukcje, żeby nikogo nie całować w rękę, tylko mówić „thank you”, ale w pierwszych transportach było z tym trochę kłopotu.

Stosunek ludzi naszych do Anglików i do wszystkich co ich spotyka w Afryce jest poza tym obciążony wyraźnym reminiscencjami z północy. Trudno jest wierzyć, że znajdują się naprawdę w zaprzyjaźnionym kraju i że spotyka ich szczerza życzliwość i współczucie. Podam kilka charakterystycznych przykładów.

Kilka miesięcy temu znalazłem się w jednym z portów wschodniej Afryki, by wsiąść na statek do Anglii. W ostatniej chwili statek zmienił trasę, i trzeba było wracać. Jednocześnie przybyła duża grupa naszych uchodźców zdążających do jednego z osiedli polskich w Ugandzie. Angielski urzędnik, który miał prowadzić transport, pojechałszy na kolację do miasta, nie zdążył na pociąg. Dowiedzieliśmy się potem, że nagle zachorował, czemu się zresztą wcale nie dziwię, bo przypadkowo widziałem jak pił, przepraszam, jadł kolację... Delegat Ministerstwa Opieki Społecznej, p. Kazimierzczak, który wyjechał sam przyjąć w porcie uchodźców, prosił mnie wobec tego, żeby objąć komendę transportu, bo sam musiał wracać do Nairobi. I tak przejechaliśmy wspólnie około 2000 km koleją, statkiem po Nilu.

Na ostatnim etapie prześlizgnięcia drogi, po przebyciu równika (oj, jakżeż zimno na tej stacji „Equator” — zresztą nie dziwnie, bo leży 9000 stóp nad poziomem morza), zaczęliśmy przeładowywać się ze statku, który nas przywiozł Nilem, na autobusy. I tu widziałem dwie charakterystyczne sceny.

Trzy starsze kobiecin, którym ku ich przerażeniu murzyni zabrali wszystkie rzeczy, nie pozwalając im nic nieść samym, stoją bezradnie i oszołomione na brzegu. Podchodzimy do nich z miejscowym angielskim komendantem — kapitanem policji. Ja tłumaczę. Komendant uspokaja je, prowadzi do budynku, w którym zastawiona jest herbata, sam przynosi ciastka, obiecuje przyjechać po nie i umieścić je wygodnie w autobusie, którym pojedą „do domu”. Potem podaje im rękę i odchodzi.

Kobiety są oczarowane.

— Kto też to taki, z tymi gwiazdkami, proszę pana?

— To naczelnik policji okręgowej — odpowiadam.

— Naczelnik? E, proszę pana, on nie może być w policji. Taki grzeszny...

A oto druga scenka.

Ładujemy się już do autobusów. Idzie dość sprawnie, chociaż mamy przeszło 1000 ludzi. Nagle kolo jednego z autobusów rozlega się płacz dzieci i nawet kobiety. Podchodzimy czym prędzej z angielskim kapitanem. Jego pomocnik stoi bezradnie przy autobusie. Okazuje się, że jakieś trzy dziewczynki chcą gwałtem wsiadać do tego autobusu, a tam już niema miejsca. A ta kobieta, zdaje się ich matka, znowu lamentuje, bo — o ile się domyśla — jej rzeczy jadą innym autobusem.

Zaczynam się dopytywać i po chwili tłumaczę Anglikom.

— Widzicie, panowie, w tym autobusie, te trzy dziewczynki mają matkę. Nie chcą jechać w drugim autobusie, bo się boją, że ich rozdzieli z matką. A znów, jeśli pojedą z matką, to też się boją, że im przepadną rzeczy.

— Niechże im pan wytłumaczy, że wszyscy jadą do jednego osiedla. Za dwie godziny tam będą, nikt ich nie rozdzieli i nie absolutnie nie zginię, ręczę za to — powiada komendant policji.

Wdaje się w pertraktację — bezskutecznie.

— Widzi pan, kapitanie, — wyjaśniam wreszcie, — one mówią, że tak samo je uspokajano w 1940 roku, a potem rozdzielono na dwa lata, i znalazły się dopiero w Indiach. Niech pan im ustąpi. Jest to kompleks psychiczny wygnanecków.

Anglik popatrzył na przerażone twarze dzieciaków.

— I see — powiedział.

I wpakował całą rodzinę do jednego autobusu razem z rzeczami.

Przyjechaliśmy do osiedla szczęśliwie. A jak tam jest, opowiem następnym razem.

Adam Skąpski

POLSKA OBSESJA KRESOWA

W londyńskim poważnym tygodniku „Time and Tide” z 14 listopada ub. r. znajdujemy następującą zmienną korespondencję, poświęconą sprawie naszej wschodniej granicy. Wszak! ja p. A. J. P. Taylor z Oxfordu, pisząc w liście do redaktora tygodnika:

„Polska obsesja kresowa” (the Polish obsession with the borderlands), która na przeciąg zgrą stulecia uniemożliwiła serdeczne stosunki rosyjsko-polskie, jest być może pewnym wytłumaczeniem dla fałszywych wyobrażeń pańskich polskich korespondentów... Jest rzeczą oczywistą (Norwegowie np. sami to przyznają), że Belgia, Holandia i Norwegia będą w dużo większym stopniu niezależne i bezpieczne w sojuszu wojakowym z nami, niż były w wątpliwej i iluzorycznej „neutralności” z przed r. 1939. Dokładnie tak samo wygląda prawda, jeśli idzie o Polskę, Cze-

chosłowację i Jugosławie wobec ZSRR... Obecna Polska jest naprawdę melancholijnym rezultatem uniezależnienia się zarówno od Rosji jak i od Niemiec”.

Redaktor pisma odpowiedział p. A. J. P. Taylorowi m.in. co następuje:

„Co p. Taylor właściwie myśli, pisząc o „polskiej obsesji kresowej, która na przeciąg zgrą stulecia uniemożliwiła serdeczne stosunki polsko-rosyjskie”, trochę trudno naprawdę zrozumieć. W stuleciu poprzedzającym r. 1914 serdecznym stosunkom między Rosją a Polską przeszkadzał ten prosty fakt, że Polska nie istniała, ponieważ została podzielona i polknięta przez swoich trzech większych sąsiadów. Tego rodzaju doświadczenie niewątpliwie pozostawia ślady — być może nawet „obsesję kresową”.

Jeśli idzie o granicę z r. 1921, to zostają ona wytyczona w rokowaniach między Rosją a Polską i jej prawomocność nigdy nie była przez Rosjan kwestionowana. Granica z r. 1939 była rezultatem układu rosyjsko-niemieckiego; została ona wprowadzona w życie wspólnie przez siły zbrojne Niemiec i Rosji. Granica, której p. Taylor broni, jest „linią Ribbentropa”, obejmuje ona terytoria, jak np. Lwów i ziemie okoliczne, które nie należały do Rosji za carysty. A chociaż zarówno Białorusini jak i Ukraińcy byli często na tych terytoriach uciskani przez Polaków, dostępne świadectwa dowodzą, że nie wolno im rządów rosyjskich. Ukraińcy dobrze się bili w armii polskiej a ich przywódcy znajdują się obecnie w rosyjskich obozach koncentracyjnych.

Jeśli wziąć pod uwagę, że Polacy musieli stracić około jednej trzeciej swojej terytorium, gdyby „linia Ribbentropa” pozostała w mocy (redaktor „Time and Tide” myli się tutaj; poza „linią Ribbentropa” pozostaje 211.000 km. — przyp. red.), jakby sobie tego p. Taylor życzył, to trudno się dziwić, że perspektywa taka wywołuje u nich, jak to mówi p. Taylor, „obsesję”.

„S K A U T”

Wyszedł w Jerozolimie Nr. 3—4 pisma Związku Harcerstwa Polskiego na Wschodzie p.t. „Skaut”. Dwa pierwsze zeszyty ukazały się p.t. „Wytrwamy”.

W obszernym 40-stronicowym zeszycie „znajdujemy artykuły programowe, szkice poświęcone Bliskiemu Wschodowi (artykuł O. Dr. Borkowskiego „Betlejem” i Mgr. W. Rybotyckiego „Z pominięcia ziemi”, oba obficie ilustrowane), wiersze, dział urzędowy (rozkazy, okólniki, komunikaty), oraz kronikę ZHP z Afryki i Iranu.

Pismo wychodzi pod kierownictwem Komitetu Redakcyjnego z Jeremim Sliwińskim na czele.

WOJSKO O SOBIE

Z okazji zakończenia pierwszej Szkoły Podchorążych wydano w Tel-Awivie książkę pamiątkową p.t. „Pułk Ułanów Karpackich 1940-1942” (Achdut 1943). Myśl przewodnią wszystkich artykułów tego wydawnictwa ilustrują najlepiej słowa Władysława Bobińskiego. „Kawaleria — pisze on — przestają być kawalerią. Przede wszystkim koń, ten nasz odwieczny i niemy towarzysz broni, utracił prymat w szybkości operacyjnej i taktycznej na rzecz motoru. Choć serce boli niejednego, rozstać się musimy z koniem, lancą i szabłą, a uzbroić się w wozy pancerne, nie zataczając nic ze wspólnych tradycji, zwyczajów i wartości kawalerskich”.

Ale kawalerzyście godzić się trudno z myślą, że wszystkie dotychczasowe akcesoria służby ułanów przeszły niepowrotnie do historii, że już nie będzie można stawiać do zawodów konnych, że stracili rację bytu długie, pięknie lśniąca buty i barwne proporce. Niezgrabny czół, ciężkie auto pancerne nie potrafią zastąpić konia, nie poniosą ułanów do romantycznych szarż na nieprzeliczone zastępy wroga.

Jakże wobec tego nie wspominać z rozrzewaniem minionej przeszłości? Jeżeli już twarde konieczność żądała jej cios śmiertelny, to niech przynajmniej żyje ona w piosence. Dlatego podchorążacy — jak stwierdza jeden ze współpracowników wydawnictwa — śpiewają nadal rzewne zwrotki o lancach, o koniach i szablach, a wszelkie ich usiłowania, aby wprowadzić do piosenek czołgi i pojazdy pancerne (wielu z nich koni już nie zna), spotykają się z protestem przełożonych.

Teskną i pełen miłości wzrok skierowany w przeszłość, to tylko jedna cecha charakterystyczna książki „Pułk Ułanów Karpackich”. Druga, od tamtej o wiele wyrazistsza, a reprezentowana przezwadnie przez młodzież podchorążacką, zmierza w przyszłość. Chce ją budować na tych samych fundamentach, na których opierała się konnica spod Chocima czy Wiednia, pragnie aby ułan w szozgu był tym samym pod względem moralnym, co ułan na koniu. Dorównać mu pod względem wartości bojowych, a przewyższyć siłą uderzenia pancernego — oto ambicja każdego podchorążego kawalerii nowej, zrodzonej przez nowoczesną wojnę na piaskach pustynnych.

Zarówno bohaterska przeszłość kawalerii, jak i jej ambitne plany na przyszłość, przedstawiono w omawianym wydawnictwie w sposób prosty, zwięzły, bez najmniejszego patosu. Podnosi to wydatnie wartość książki, nadaje jej charakter niemal dokumentarny. Te spartańskie — rzeczy można — proste słowa spotykamy już we wspomnianym artykule wstępnym W. Bobińskiego oraz w drugim podpisanym inicjałami K.K., a odzwierciedlającym historię Karpackiego Pułku Ułanów od chwili jego powstania aż do momentu przekształcenia go na jednostkę pancerną.

Piękny, pełen lirycznej zadumy wiersz Janusza Wedowa, poświęcony koniowi i jego wierności dla człowieka, jest małą tylko dygresją, miłym urozmaicheniem prostej, żołnierskiej prozy. Tematem jej są przeważnie walki Ułanów Karpackich w Tobruku i na pustyni Libijskiej. Historię ich przedstawiają: Michał Paciorek, Karol Kleszczyński, Zbigniew Lisowski, Jan Porzecki („Two years in Egypt” — jedyny artykuł w języku angielskim), Antoni Smolbowski, Ludwik Lotringer, Jan Lentner i Zbigniew Wołyński.

Na osobną wzmiankę zasługują artykuły: „Jedna droga” Wincentego Tomaszewskiego i „Nowa karta życia” W.D. Pierwszy z nich mówi o Polakach z Chabinu, którzy na pierwszą wieść o wybuchu wojny postanowili stanąć do orężnej rozprawy i po wielu udrękach dotarli do Brygady Karpackiej — drugi opowiada o małym naogół znanych faktach przechodzenia Polaków z francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Syrii do oddziałów gen. Kopasńskiego.

Interesujące — zwłaszcza czytelnika cywilnego — życie podchorążych, ich myśli i zamierzenia przedstawili Alfons Mrowiec i Ignacy Kleszczyński, który z typowym dla naszego żołnierza beztroskim humorem i spokojem ducha traktuje dolegliwości i niepowodzenia żywota wojennego.

Poezję reprezentuje — obok wspomnianego już Wedowa — przede wszystkim Zdzisław Broncel w pięknym wierszu „Pożegnanie”. Jest to niewątpliwie jeden z najpiękniejszych holdów, złożonych bohaterstwu kawalerii w 1939 r., rzucającej się z brawurą na potworne cielska czołgów niemieckich. Wiersz Bogumiła Andrzejewskiego: „Dom ocalony” znalazł się tu chyba przypadkowo, nie łączy się ani tematem, ani myślą przewodnią z całością wydawnictwa. Wszystkie te cechy natomiast posiada żartobliwy utwór Stefana Jankowicza „Przed Edenem defilada”, upamiętniający na wesoło jedno z ważnych przeżyć Brygady Karpackiej.

Wartość wydawnictwa „Karpacki Pułk Ułanów” podnosi przeszłość — wprost luksusowa — szata zewnętrzna. Rzadki w czasach obecnych papier kredowy (szkoda tylko, że korekta nie zawsze strasza), i piękne ilustracje w układzie H. Węclanowicza sprawiają, że książkę bierze się do ręki z prawdziwą przyjemnością.

Jeszcze bardziej oficjalne jest drugie bliźniacze wydawnictwo: „Do dział” — Jednodniówka Szkoły Podchorążych Artylerii w Kara-Su, wydana w Tel-Awivie w tym samym czasie i w tej samej drukarni (Achdut). Krótkie informacje o działalności i zasługach gen. Sikorskiego oraz gen. Andersa, oficjalne przemówienia z okazji zakończenia Podchorążówki, opis przebiegu tej uroczystości i t.p. zajmują przeszło połowę 32-stronicowej Jednodniówki. Resztę poświęcono wspomnieniom. Najlepsze z nich to „Starobelskie wspomnienia” Eugeniusza Duchy, przedstawiające przeżycia żołnierzy w okresie powstawania samodzielnej Armii Polskiej na terenie Z.S.R.R., oraz Zdzisława Burakowskiego „Historia pewnych chwilek”; jest ona napisana z takim poczuciem humoru, że niektóre jej ustępy nadają się na scenę jako wesołe monolog z życia wojskowego. Inne artykuły, często tych samych autorów (niektórzy z nich pomieścili ich nawet po cztery) dotyczą powstania biuletynu obozowego, działalności literacko-artystycznej podchorążych, ważniejszych momentów ich szkolenia artyleryjsko-motorowego i t.p.

Z poezji najlepszy jest wiersz Michała Warejko „Zwycięstwo”.

Jednodniówkę wydano starannie na pięknym papierze kredowym. Liczne ilustracje nie dorównują niestety ani wykonaniem ani układem kawalerskiej Księdki pamiątkowej.

Dr. Łukasz Kurdybacha

1) Pułk Ułanów Karpackich 1940-1942. Tel-Aviv (Achdut). 1943.

2) Do dział. Jednodniówka Szkoły Podchorążych Artylerii w Kara-Su 1942. Tel-Aviv 1943.

Z PRASY PODZIEMNEJ

DWIE POLITYKI ANTYPOLSKIE

„Rzeczpospolita Polska” pisze o dwóch politykach antypolskich, jakie Niemcy zastosowali na naszych Ziemiach Zachodnich:

„Już oddawna widocznym było, iż Niemcy zdecydowali się w odmienny sposób traktować poszczególne dzielnice ziem polskich, wcielonych do Rzeszy”. T. zw. przez nich Ziemię Warty, a przede wszystkim Wielkopolskę, postanowili oni poddać bezwzględnej próbie „wynarodowienia ziemi”. Na ten teren skierowano główną część tej fali osadnictwa niemieckiego, na jaką stać było Niemców podczas wojny; osadzono w „Warthegau” dwiesięć kilkadziesiąt tysięcy Niemców; na ten teren werbowani są osadnicy holenderscy, norwescy, estońscy; stamtąd głównie rekrutowała się olbrzymia, przekraczająca milion osób fala nieszczęśliwych polskich wysiedleńców; tam wreszcie najbardziej bezwzględne, najokrutniejsze formy przybierał terror przeciwpolski. Natomiast w stosunku do dwu pozostałych dzielnic ziem polskich, „wcielonych do Rzeszy”, t.j. do okręgów Prusy Zachodnie — Gdańsk i Śląsk, zastosowano taktykę odmienną: eksterminacja żywiołu polskiego otrzymała tam formy nieco łagodniejsze, a właściwie mniej jaskrawe i szerokie oraz mniej powszechne, natomiast postanowiono podjąć tam próbę wynarodowienia i pozyskania dla niemieczyny jeśli nie całej, to większości miejscowej ludności polskiej.

Obydwa wielkorządcy Hitlera dla tych dzielnic, t.j. śląski Bracht i pomorski Foerster, przy każdej okazji podkreślali i podkreślają, iż zadaniem ich jest bezwzględne zniemczenie tych terenów. Przemawiając w dniu 15 stycznia w Bydgoszczy, Foerster oświadczył wyraźnie: „Celem polityki narodowej naszego okręgu jest uczynienie go tak czysto i bez reszty niemieckim, by poza Niemcami nie było w nim

miejsca dla nikogo”. W artykule pomieszczoneym w dniu 8 lutego na łamach dziennika „Voelkscher Beobachter” pisze Foerster m.in.: „Na terenie okręgu naszego język polski musi być całkowicie wytępiony”. A kończy artykuł konkluzją następującą: „O ile nadal działać będziemy w tym duchu, wykonamy z pewnością i urzeczywistnimy dany nam przez Fuehrera rozkaz, iż ziemia ta ma się stać w ciągu dziesięciu lat ziemią niemiecką”.

Ku temu celowi idąc, a wiedząc, iż nigdy nie starczy im sił na zaludnienie tych wielkich polskich dzielnic napływowym elementem niemieckim, hitlerowcy weszli na starą, tradycyjną pruską drogę próby wynarodowienia polskiego ludu tych dzielnic. To też od dwu już z górą lat, zarówno na Pomorzu, jako też na Śląsku Górnym i Cieszyńskim, a także na włączonych do Śląska terenach Zagłębia Dąbrowskiego i Województwa Krakowskiego, trwa wyjątkowa akcja niemiecka, mająca na celu, obok bezwzględnego tępienia najbardziej aktywnych i opornych żywiołów polskich, próbę wydzierania świadomości narodowej, mowy i obyczaju ojczystego szerokim polskim masom. Kościół całkowicie opanowany przez sprowadzonych specjalnie germanizatorów w sutannach, szkoły wyłącznie niemieckie, gęsta sieć tysięcy niemieckich ogródków i schronisk dziecięcych, wyjątkowa niemiecka akcja propagandowo-polityczna, organizacyjna i oświatowa, zupełne zniszczenie wszelkiego polskiego życia organizacyjnego i kulturalnego, wytrzebienie książki polskiej, bezwzględne tępienie i prześladowanie języka polskiego, a wreszcie potężny aparat nacisku i presji — stosowanej przy pomocy środków gospodarczych — wszystko to służy powyższemu celowi próby zgermanizowania nie tylko ziem pomorskiej i śląskiej, lecz przede wszystkim ich polskiego ludu”.

JEŃCY POLSCY W NIEMCZECH

W nr. 7 (153) „Wiadomości Polskich” z dn. 14 lutego b.r. znajdujemy następującą relację, poświęconą opisowi losu jeńców polskich w prowincji hannowerskiej, w Niemczech.

W prowincji hannowerskiej jest wiele mozarów. Niemcy nie zrezygnowali z nich i starają się pozyskać tę ziemię dla kultury rolnej przez osuszanie błot rękami jeńców. Prace te, ze względu na warunki, prowadzi się tylko w czasie gdy Niemcy rozporządzają jeńcami. Dlatego prowadzi się je w zabójczym tempie. Gdy jeńców nie będzie — kopanie kanałów stanie. Tak mówią sami Niemcy. W terenie jest około 600 małych obozów po 60 do 300 jeńców w każdym. Obozy te noszą nazwę „Moor-Kommando”. Ale warunki życia w nich są tak okropnie, że powszechnie nazywa się je „Mord-Kommando”. Olbrzymia większość jeńców, pracująca w tej Gujanii niemieckiej, to wrzesniaki, którzy karani są za ucieczki, lub za to, że nie chcieli podpisać zobowiązania, iż zostaną w Niemczech jako robotnicy cywilni do końca wojny.

Każdego poranka głuchy kłopot sabotów, w których jeńcy chodzą dla zaoszczędzenia butów, budzi mieszkańców małej wioski. Około 200 jeńców w kolumnie płatkowej przemarszerowuje przez wieś i po półgodzinnym brnięciu przez płachy zatrzymuje się w małym gaju przy szopie z narzędziami. Widać olbrzymią bagnistą łake, przeciętą wolno płynącą rzeką, zamienioną już częściowo rękami jeńców w wielki i głęboki kanał. Wbraw prawu międzynarodowemu, które zakazuje używania jeńców do pracy na akord, każdy żołnierz dostaje „działkę” do wykopania. „Działka jest długości 5.00 m, szerokości 2.20 m. i głębokości 1.80 m. Ziemię trzeba wybrać, wyrzucić i potem odrzucić ją jeszcze raz dalej, by było przejście między kanałem a nasypem. Długi, wyczerpujący marsz po piaskach jest wliczony do 12-godzinnego dnia pracy, tak że trzeba się bardzo śpieszyć, aby swój akord wyrobić. Pierwszą warstwę z darni kroi się wielkimi kostkami, ażeby zyskać na czasie. Od dzwignia wielkich był ziemniaków choruje na przepuklinę i nadwyżnienie kregostupa. Każdy stara się rzucić ziemię jak najdalej, choć ziemia lepi się do jopaty i nadrywa przy zamachu mięśnie. W celu zwiększenia wydajności Niemcy znieśli nawet palenie w czasie pracy z wyjątkiem dwóch 5-cio minutowych przerw o g. 9 rano i 4 pp. Jeśli ktoś dostanie niżej położoną działkę i musi stać z niej wylewać wodę albo ciąć siekierą korzenie znajdujące się głęboko w ziemi, wtedy przyjaciele muszą skończyć swoje działki wcześniej i pomóc mu, aby go uchronić od nieludzkiego bicia za niewykończenie normy.

Jeńcy wyglądają jak szkielety. Ich całodzienne pożywienie stanowi: funt chleba zrobiony w 40% z mąki kartoflanej, żyłka margaryny lub marmolady z buraków i chochla ersatz-kawy; obiadu wcale nie ma. Jest tylko godzinna przerwa na obiad, ale prawie się nie zdarza, aby któryś z jeńców dochował do południa kawałek chleba. Każdy jest tak wygłodzony, że zjada go odrzuci. Po powrocie z pracy jest kolacja: miska rozgotowanej brukwi bez mięsa i bez tłuszczu, lub wodnista zupa z lebiody.

Widok jeńców kopających kanał w bagnie po kolana, półnagich, bo tylko w kałesonach, całych poprasykanych błotem, przypomina sceny z „Chaty wuja Toma” lub „Nędzników”. Powietrze jest parne i przesycone wyciewami błot. Przyniesiona wodę wydziela się niemal na krople. Niemcy, w białych llnianych uniformach, siedzą porozpinani w cieniu gąszi, lub spacerują wzdłuż kanału z bagnetami na karabinach i kijami w rękach. Jeśli ktoś wyda się im opieszalszy, wówczas spada na niego kolba lub kij. Nie zapomnę nigdy widoku podchorążego G., 24-letniego studenta z koroną zupełnie już siwych włosów, leżącego w błocie i bitego przez gefreitera. Będąc całkiem wyczerpany, nie mógł on wyciągnąć korzenia. Zgłosił się za niego silniejszy jeńca, lecz Niemiec nie zgodził się na zastępstwo, dwoma uderzeniami kolby zwałił podchorążego G. w błoto i bił go aż do utraty przytomności.

Po powrocie do obozu napisaliśmy raport do dowódcy obozu karnego, do którego ewidencyjnie należeliśmy. Oczywiście, nie odniosło to żadnego rezultatu.

Przegląd polityczny

Kampania tuniska zbliża się obecnie szybko do końca, do swojej „Dunkierki”. Ale poza Tunisem na frontach panuje względny spokój. Dla dyplomacji sprzymierzonych jest to jednak okres bardzo gorący: okres przygotowywania warunków przyszłego pokoju.

Łatwo się zdziwić i spytać, czy to nie za wcześnie. Przecież nie ma jeszcze oznak bliskiego końca wojny, zresztą z różnych autorytatywnych źródeł zapewniano nas, że wojna może potrwać nawet i kilka lat.

Zdziwienie takie nie byłoby jednak usprawiedliwione. Wśród sprzymierzonych panuje bowiem przekonanie, że dać się zaskoczyć końcem działań wojennych, nie posiadając uzgodnionego planu politycznej i gospodarczej przebudowy świata, równałoby się klęsce. Że na to, aby przyszedł pokój mógł być trwały, trzeba się zdobyć na radykalne zmiany, i że najłatwiej zmiany takie wprowadzić w momencie tej pustki, jaka nastanie bezpośrednio po załamaniu się władzy niemieckiej w okupowanej Europie. A na to, aby móc działać szybko i sprawnie, trzeba dokładnie wiedzieć, czego się chce, i trzeba, aby plan taki był zawczasu uzgodniony. Przykładem odstrasającym są tutaj losy Traktatu Wersalskiego i jego przebudówek, kiedy to państwa zwycięskie nie potrafiły uzgodnić swoich stanowisk politycznych (wystarczy choćby wskazać na różnice w angielskich i francuskich poglądach na stosunek do Niemiec) oraz nie miały żadnego planu gospodarczego zorganizowania świata. W rezultacie narodził się pokój, który nikomu nie dawał poczucia stabilizacji i który okazał się nie trwały. „Wchodzimy w trzeci rok pokoju, rzeczoznawcy oddawna uprzedzali, że będzie to proces przewlekły” — melancholijnie dworował sobie jeszcze w r. 1921 humorysta z „Punchu”.

Oczywista, można mieć wątpliwości, czy obecne projekty powojennego zorganizowania świata muszą się zrealizować. Każdy pokój jest rezultatem pewnego układu sił, i projekty, wypracowane dziś w Londynie i w Waszyngtonie, będą realne o tyle tylko, o ile ludzie, którzy je przygotowują, potrafią trafnie przewidzieć ten układ sił, jaki zaistnieje w momencie zawieszenia broni.

Posiadamy tylko skąpe i fragmentaryczne komunikaty z tego dyplomatycznego frontu. Dyplomacja zawsze była tajna, co dopiero w czasie wojny. Wiemy jednak, że Rząd nasz ma tu niełatwą sytuację. Stanowisko jego w sposób bardzo mocny i bardzo zdecydowany sformułował 30 ub. m. gen. Sikorski:

„Jeśli po zakończeniu wojny prawa nasze nie będą uszanowane, a nasze długotrwałe i pełne poświęcenia oddane się dla sprawy wolności będzie kwestionowane, wszyscy Polacy, i to bez względu na ich religię i przekonania polityczne, zjednoczą się jak jeden mąż, by stawiać czoła wszelkim zakusom na suwerenność i nienaruszalność terytorialną naszej Ojczyzny bez względu na to, z czyjej strony tego rodzaju żądania zostaną wysunięte”.

*

Jesteśmy od lat tak intensywnie bombardowani przez wszelkiego rodzaju propagandę, że — zwłaszcza pomyślnie — wiadomości przyjmujemy zawsze z pewnego rodzaju niedowierzaniem. Kiedy nam mówią o nalotach wielu setek samolotów na miasta niemieckie, o milionach kilogramów bomb zrzuconych, o ogromie zniszczeń, — tkwiący w każdym z nas sceptyk pyta się z pewnym niedowierzaniem: czy naloły te są naprawdę tak niszczące, czy naprawdę Niemcy je tak ciężko odczuwają, czy mogą one złamać siłę moralną oporu niemieckiego?

Odpowiedź twierdzącą na te pytania otrzymaliśmy ze strony bardzo niespodziewanej, a bardzo w danym wypadku autorytatywnej. Głośnym „tak” odpowiedział Goebbels. Ogłosił on w „Das Reich” artykuł p. t. „Stimmung und Haltung”. Każda ze stron — dowodzi w nim — walczy inną bronią. Bronią Anglików i Amerykanów jest lotnictwo, chcą oni zniszczyć Niemcy przy pomocy samolotów. Bronią niemiecką są łodzie podwodne, za pomocą tej broni — pisze — Niemcy starają się zniszczyć państwa sprzymierzone. Idzie o to, która ze stron dłużej wytrwa. Poczem przyszły apele do Niemców, że nie wolno im się załamać, że muszą przetrwać.

Mniejsza o to, co Goebbels pisze o wojnie podwodnej. Nie dlatego, żeby niebezpieczeństwo jej minęło. Jest ono nadal poważne. Ale jest rzeczą oczywistą dla każdego, że tutaj propaganda niemiecka może hulać w sposób najbardziej nieodpowiedzialny i że nikt rozsądny nie będzie z niemieckiego Ministerstwa Propagandy czerpał wiadomości o ilości zatopionych statków.

Ważne jest w tym artykule co innego. Oto Goebbels stwierdził tam, że Niemcy uważają lotnictwo sprzymierzonych obecnie za najgroźniejszą dla siebie broń. Że liczą się z niebezpieczeństwem, iż bombardowania mogą wywołać załamanie się Niemiec, i że uważają iż trzeba z tym niebezpieczeństwem walczyć.

Rzecz prosta, nie można powiedzieć, aby artykuł taki był najprzebieższym posunięciem propagandowym. Ale winna nie leży tu po stronie Goebbelsa. Propaganda niemiecka była przed wojną i w pierwszych latach wojny zresztą i sprytna. Dziś propaganda ta pusze się nie dlatego, aby jej kadry czy organizacja były gorsze, ale dlatego, że nie można mieć dobrej propagandy, kiedy się przegrzywa wojnę. Artykuł Goebbelsa nie jest gaffą. „Gaffa” są tutaj skutki nalotów sprzymierzonych na Niemcy.

www.

Zamiast w Nr. 2-gim, jak było zapowiedziane, zamieścimy w Nr. 3-cim

„Wiersze jerozolimskie”

WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO

Adres Redakcji: Polish Information Centre, Jerusalem, Bezalel Street, House Valero.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press
Jerusalem. Hassolel St. 9. Tel. 2898

Rafał Klinga